AS



Nr. 39
26 WRZEŚNIA 1937 R.

MEXICANA

BOB BAKER



mógłby stać się podstawą zapoczątkowania nowego jeleniego zwierzostanu, tam, gdzie o nim już zapomniano.

Po rozgrodzeniu Zwierzyńca w Zamojszczyźnie, po zaniku wielkich prywatnych zwierzyńców na całej przestrzeni prawego brzegu Wisły, jeleń zaginął omal że zupełnie, a zwierzyńce, gdzieby się chował otoczony pieczołowitą opieką człowieka należą do rzadkości, tak, że je dzisiaj na palcach wyliczyć można. Jeszcze Benedykt Tyszkiewicz poszczycić się może pięknym stanem jeleni w Wiale, ale próżnoby jelenia szukać gdzieindziej w lasach pozareprezentacyjnych, bo poprostu wyginął.

Lasy karpackie Podkarpacia i zachodnich rubieży Rzeczypospolitej, mogły być właśnie tym jeleniem — matecznikiem, któregoby to szlachetne zwierzę wyjść miało, by zaludnić lasy nasze ojczyste, a przecież rozprowadzenie jego nie jest rzeczą trudną, a wymaga tylko umiłowania i chęci do pracy.

Gdy Niemcy stwarzają sztuczną „Białowieżę" na nizinie Dolnej Pomeranii w Dress i zaludniają ją już nietylko jeleniem, który jest sztandarowem zwierzem łowiectwa niemieckiego, ale na sztucznie nawodnionych terenach zaprowadzają łosia (ilościowy zwierzostan łosia w lasach niemieckich i na Mieżej Kurońskiej przekroczył już dawno dwukrotną cyfrę ilości naszych łosi), my mając tak idealne warunki jeleniowej rozmnoży i taki dobór matek i stadników,

BARKAROLA

NAPISAŁ FELIKS DANGEL

Jeszcze na liściach leszczyny drgały ostatnie zagubione akordy cichej uwertury lasu, a już księżyc wszedł ponad zagajniki jak wielkie górne światło rampy; statystki nocy wrześniowej długoszyje łanie przeciągnęły już dawno przez polanę i ducht leśny, ale tenor liryczny największej jesiennej opery nie odezwał się czegoś, a tylko tkwił niewidoczny w gąszczarze podszycia, niebaczny na niecierpliwe hasło dyrygenta nocnych misterjów — puhacza, który od boru sosnowego kłapał i wołał jak koncertmistrz, pałeczką uderzający po pulpicie.

Dlaczegóż zwlekał?

Przecież miłość nie boi się księżyca, który niedyskretnem okiem pełni wypatrywał las — las, który tak czarownie wczesna jesień dekorowała w dywany wrzosowiska, rozpylając leniwe zapachy mgieł idące od bagnisk.

Ale oto odezwał się. Rozpoczął swą barkarolę, improwizację liryczną głębokim głosem, a potem powtarzał akord po akordzie jak powracającą strofę trioletu i wypłynął majestatycznie z zagajników na leśną polanę.

To był on. Prymas leśnej opery — jesiennego jeleniego rykowiska.

A potem jak chóry w operze komicznej odezwały się odgłosy młodzieży leśnej, która w kulisach ukryta poddawała tylko ton śpiewakowi, podniecając wysiłek głosowy jego do najwyższej skali, skali zapamiętania się w pieśni miłosnej — —pieśni, którą wyczarowała jesienna noc.

Ze wszystkich polowań na ziemiach polskich nie wyłączając cudów podkradów wiosennych, na rozgdakanego pieśnią głuszca, polowanie na rykowisku jelenim, w przebogatych w tę zwierzynę terenach polskich, prym zawsze jednak trzymać będzie.

Od Podkarpacia przez lasy Lubelszczyzny, aż po ziemie poznańskie do Kaszubskiej Szwajcarji, z nastaniem września rozpoczyna się pieśń ta najcudowniejsza, przecudna barkarola rykowiska jeleniego.

Zdawałoby się, że właśnie Polska, posiadająca tak wspaniałe naturalne warunki, rozmnoży i hodowli jelenia przodować będzie w niedługim czasie wśród łowisk jelenich na przestrzeni całej Europy. Stało się jednak inaczej i jelenia w lasach naszych potraktowano po macoszemu. Tam wszędzie, gdzie zabrakło zamiłowanego hodowcy myśliwego, jelenie jak gdyby razem z kornikiem i turkuciem podjadkiem, czy słonikiem owadzim potraktowano omal że jako szkodnika leśnego i na mocy ramowego zarządzenia postanowiono ostrzeliwać w jak największej ilości łanie, ażeby rozmnoża tego najpiękniejszego łownego zwierzęcia utrzymać w nieprzekraczalnych ramach, kontentując się tylko bardzo ograniczoną ilością króla naszych lasów. W Poznańskiem, gdzie w lasach państwowych jelenie tak świetnie odrestaurowały swój zwierzostan, właśnie w Poznańskiem zaczęło się wybijanie łań jelenich, zarządzane od góry, na których padały matki jeleniego rodu, nietylko jałowe, ale także te, które w najbliższych latach mogłyby dać lasom naszym najpiękniejsze okazy trubadurów jesieni.

W ramowym programie trzymania zwierzostanu jeleniego w ryzach, nie pomyślano o tem, że przecież lasy Królestwa Polskiego, które kiedyś były ostoją jelenia, opustoszały od tego pięknego zwierza i że właśnie ten nadmiar jeleni w jednych okręgach mooglibyśmy w krótkim czasie lasy nasze ożywić ponownie tem najwspanialszem zwierzem, który ze wszech miar na to zasługuje.

— Barkarola.

— Słowo padło w zachwycie wyszeptane cicho na wysokiej ambonce skąd widać było srebrzysty dywan leśnej polany, na której stojąc po kolana we mgle śpiewał swą pieśń leśnym najadom ukoronowany kochanek.

— Myli się pan, barkarola jest to mały utwór muzyczny — powiedziałbym impresja o podłożu lirycznym, a to bym nazwała arją.

— C...i...i-szej.

Bo oto tenor nazwany lirycznym czy bohaterskim, wyłowił widać dysonans, jakiś dysonans ludzkiego głosu w swej pieśni, bo przerwał ją nagle, łeb wzniósł do góry i pilnie wpatrywał się w ciemny masyw lasu, skąd napłynęło doń Ostrzeżenie. Lecz serce jego widocznie biło młotem przyspieszonym rytmem kochania nie baczny na groźbę, rozpoczął ponownie swoją pieśń.

— Strzelę teraz — niech umrze w najpiękniejszej chwili kochania.

Ostatnim akordem opery leśnej bywa zawsze grom strzału.

— — — — — — — —

Więc barkarola?

— Barkarola jest to pieśń miłosna... Forma muzyczna, w której wypowiada się swe uczucia...

— Jest jeszcze inna forma wypowiadania się... pocałunek.

— Na nią jednak jest zbyt widno... I właśnie nadchodzi gajowy.

— Nic to... miłość księżyca się nie boi.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 39 | **Niedziela, 26 września 1937** | **Rok III**

ASY NUMERU 39-GO:



Fot. Janina Machnicka — Warszawa

Druga połowa września stoi na naszem ciepłem Podolu pod znakiem winobrania. Dojrzewają wtedy w powiatach zaleszczyckim, borszczowskim, czortkowskim i buczackim najpiękniejsze odmiany winogron, nieustępujące zagranicznym. Mała Elżunia z Krakowa bierze również udział w winobraniu, z zapałem i uwagą zrywając cudne kiście przepojonych słońcem gron w winnicy nacz. Kostrakiewicza w Zazulińcach pod Zaleszczykami.



»kręćmy« film naszego życia!...

Żyjemy pod znakiem pośpiechu. Udoskonalenie środków komunikacyjnych i zdobycze techniki w ogólności przyczyniły się do tego, że czynności, które dawniej wymagały długiego okresu czasu, trwają dzisiaj bardzo krótko.

Dawniej podróż z jednej części kraju do drugiej, a cóż dopiero zagranicę, była całem przeżyciem. Wymagała odpowiednich przygotowań i trwała zwykle kilka miesięcy. Napisanie listu gęsiem piórem, doręczenie tego listu na miejsce przezna-



czenia i otrzymanie odpowiedzi — wszystko to razem mierzyło się odstępami czasu, będącemi poważnym ułamkiem okresu życia ludzkiego.

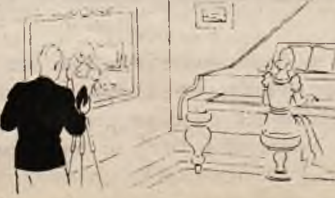
Dzisiejsze telefony, drutowe czy bezdrutowe, teletypy, samoloty są środkami, któremi człowiek podzielił czas na mniejsze niż dawniej odcinki. Dawniej mierzyło się go na miesiące i lata, dzisiaj na minuty, a nawet na sekundy. Umysł ludzki nie zatrzymuje się obecnie dłużej, niż przez krótką chwilę nad jedną czynnością. Każda chwila następna przynosi świeże wrażenie i tak jedna sekunda goni za drugą. Ciągle właściwie się śpieszymy i poszukujemy „czasu utraconego". Chcielibyśmy zatrzymać na chwilę bieg zdarzeń, przypomnieć sobie to, co już minęło i wracać do chwil przyjemnych lub uroczystych, które nieubłagany Chrônos pochłania bezpowrotnie.

To dążenie człowieka nowoczesnego odzwierciedla się, rzecz dziwna, w urządzeniach technicznych i wynalazkach ostaniego stulecia. Człowiek dzisiejszy walczy z utraconym czasem zapomocą aparatu fotograficznego, zapomocą płyty gramofonowej, no i oczywiście zapomocą kinematografu we wszelkich jego odmianach. Wspaniały wynalazek Daguerre'a i Niepce'a umożliwił nam zatrzymanie i utrwalenie obrazu ludzi i zdarzeń i tem samem w cudowny wprost sposób pomógł naszej pamięci, będąc niejako najlepszym orężem w walce z przemijaniem wszystkiego, co istnieje. Tę samą rolę w odniesieniu do głosu odegrał czarowny wynalazek Edisona. Marzenia z bajki zostały urzeczywistnione. Pomniki chociaż nie trwalsze od spiżu, ale bardziej do nas przemawiające, zachowują nam pamięć ludzi i rzeczy pięknych i kochanych.

A cóż powiedzieć o wynalazku kinematografji? W okresie początkowym, gdy ukazywały się pierwsze t. zw. „żywe obrazy", ludzie byli wstrząśnięci tym niesamowitym wrażeniem, które wywoływały poruszające się na ekranie postacie i przedmioty. Wrażenie to da się chyba porównać z uczuciem, jakie wywołał pierwszy pociąg kolejowy, poruszany przez parowóz. A jednak, gdyby nam dzisiaj pokazano owe „żywe obrazy", któremi się tak zachwycano w początkach bieżącego stulecia, mielibyśmy dla nich uśmiech politowania i podziwialibyśmy wyrozumiałość ówczesnych ludzi, którzy nie zauważyli lub nie chcieli widzieć niedociągnięć i wad pierwszych pokazów kinematograficznych. Plamy jasne, ostro kontrastujące z plamami czarnemi, żadnych półcieni, kontury ostre, nieznośne migotanie — wszystko to cechowało dziecięcy okres kinematografji. Na szczęście jednak byli także ludzie krytycznie usposobieni, którym nie wystarczały takie namiastki i imitacje obrazów z życia. W pracowniach naukowych i fabrycznych mozolił się zastęp techników i uczonych nad polepszeniem i udoskonaleniem fotografji i kinematografji. Jest wprost nieprawdopodobne, jak szybko wysiłki te zostały uwieńczone pomyślnemi rezultatami. Doskonałe filmy, które oglądaliśmy już przed 8 czy 10 laty są tego najlepszym dowodem. A gdy „Wielki Niemowa" przemówił, gdy udało się połączyć w kinematografie reprodukcję obrazu i głosu można było mniemać, że naprawdę wynalazek ten osiągnął już swe szczyty.

Ale niespokojny duch ludzki nie zadowolił się jeszcze temi osiągnięciami. Mamy coprawda doskonałe filmy czarno-białe, nieraz znakomicie udźwiękowione, oddające przebieg zdarzeń i akcji filmowej z niewiarygodną wiernością, ale cóż, gdy brak nam jeszcze czegoś, by osiągnąć pełnię złudzenia. Brak nam plastyki obrazów,, a przedewszystkiem barwy — brak nam tego, co najbardziej cieszy oko nasze, co jest największą bodaj radością żyjącego człowieka.

Nie należy zapominać, że już w pierwszych latach istnienia kinematografji pojawiły się próby wprowadzenia filmu kolorowego, ale z mizernemi niestety rezultatami. Dopiero ostatnio udało się wynalazek ten doprowadzić do perfekcji. I bądźmy przekonani, że kinematografja kolorowa wkrótce wyprze filmy czarno-białe, tak jak filmy dźwiękowe wyparły filmy nieme.



Kinematografja przebyła niezwykłą linję rozwojową nietylko wgłąb, ale także i wszerz, jeżeli się tak wyrazić możemy. Podobnie, jak fotografja, była ona początkowo tylko dla niewielu ludzi dostępna (oczywiście w znaczeniu produkcji a nie konsumpcji). Co więcej, w miarę rozwoju kinematografji, kiedy oglądaliśmy wspaniałe filmy, których reklamie nigdy nie brakowała cyfra wielomiljonowa, podająca koszt wyprodukowania tychże, nie przypuszczano, aby kino mogło być dostępne dla laika jako producenta i jako odbiorcy-konsumenta. Był czas, gdy fotografja znajdowała się tylko w rękach zawodowców. A dzisiaj dziecko każde może próbować swych sił w fotografji amatorskiej. Na to samo zanosi się i w kinematografji. Już dzisiaj każdy może „kręcić". Istnieją aparaty kinematograficzne dla amatorów — co więcej — zorganizowano już specjalne zrzeszenia, skupiające amatorów kinematografji, rozpoczęto wydawanie specjalnych czasopism, stworzono całą literaturę.

Pozornie zdawałoby się, że kinematografja amatorska, to to samo, co kinematografja zawodowa, tylko na mniejszą skalę. Ot poprostu zamiast kilkuset lub kilku tysięcy metrów, „kręci się" tylko kilkadziesiąt metrów filmu. Zamiast dużego ekranu używa się małego i na tem koniec. W rzeczywistości jednak istnieją obok znacznych podobieństw niemniej poważne różnice między kinematografją amatorską a zawodową.

Już sama szerokość filmu odróżnia na pierwszy rzut oka oba rodzaje kinematografji. Film amatorski — to najczęściej taśma o szerokości 8 lub 16 mm, a więc stosunkowo niesłychanie wąska. Przy 8 mm filmie, najczęściej używanym przez amatorów, wielkość obrazka, czyli t. zw. klatki, wynosi zaledwie 3.5 razy 4.5 mm. Na metr bieżący wypada 263 obrazków. Czas wyświetlania filmu o długości około 120 metrów wynosi około 34 minuty. Największa szerokość ekranu może wynosić tylko 1.5 m. Nie poddajemy tu analogicznych wymiarów filmu zwyczajnego, gdyż różnice każdemu i tak rzucają się w oczy. Najważniejszą bodaj rzeczą jest kwestja samego światła. Amator bardzo rzadko będzie miał do dyspozycji sztuczne źródła światła tak silne, jakie ma atelier kinematograficzne. Najczęściej musi się posługiwać kilkoma żarówkami elektrycznemi, chyba że fotografuje przy świetle dziennem.

Amator filmowy musi być nietylko operatorem, ale i reżyserem swoich zdjęć. Nie sztuka jest filmować wszystko, co się nam nawinie. Trzeba umieć „brać na film" to, coby się na nim mieć chciało i to ze strony najkorzystniejszej. Z konieczności więc amator filmowy będzie kręcił małe scenki charakterystyczne z życia rodzinnego, uroczystości rodzinnych, gdzie może w pewnej mierze reżysersko kierować akcją scen fotografowanych. Najcenniejsze są i największą wartość pamiątkową będą miały te zdjęcia, na których osoby działające występują najnaturalniej, nie grając i nie pozując. Ciekawe będą zawsze filmy z dziećmi, jako głównymi aktorami, gdyż one właśnie najczęściej wychodzą naturalnie, nie przybierając tak łatwo sztucznej pozy.

Nietylko jednak ludzie mogą być objektem filmu amatorskiego. Weźmy np. piękną porcelanową figurkę, sfilmowaną zapomocą kamery, będącej w ruchu i zmieniającej położenie w stosunku do filmowanego przedmiotu. Ruch aktora zastępuje ruch kamery-



Poza tematami z życia rodzinnego jakże ciekawe tematy znajdujemy poza domem. Sceny z różnych zawodów sportowych i inne z życia zbiorowego, np. podczas obchodów i zgromadzeń, ludzie przy pracy na roli i w warsztacie, zdjęcia wykonywane przy pomocy kamery będącej w ruchu np. z jadącego pociągu, samochodu itd. Jakież tu bogactwo i jaka rozmaitość tematu i samej techniki wykonywania zdjęć. Niektóre obrazy zdejmujemy, patrząc na nie zgóry niejako, inne znów z per-



spektywy żabiej, jedne za dnia, inne w nocy. Zdjęcia krajobrazowe w różnych porach, zwłaszcza w zimie i na jesieni. Nie sposób wyczerpać wszystkich cudów, dostępnych dla amatora filmowego.

Istnieją obecnie filmy do zdjęć kolorowych, dostępne dla amatorów filmowych. Zasada ich działania polega na zastosowaniu t. zw. subtraktywnego czyli odejmującego sposobu przy reprodukcji barw. Polega on na tem, że filmowa taśma posiada nałożone na sobie trzy warstwy światłoczułe, z których każda jest wrażliwa na inny składnik światła białego, a więc górna warstwa na składnik niebieski, środkowa na składnik zielony, a dolna na składnik czerwony. Po wywołaniu górna warstwa daje żółte składniki obrazu, a więc to co pozostaje ze światła białego po odjęciu zeń niebieskiego składnika (stąd nazwa systemu subtraktywnego). — Środkowa warstwa daje część purpurową, jako resztę po odjęciu od światła bia-

Dokończenie na str. 7-ej.







Na lewo: Podkamień koło Brodów.

Legenda o Podkamieniu

Przypadkowo znajdowałem się w okolicy, w której z ust do ust podawane są różne najdziwaczniejsze legendy. Legenda, którą mam tutaj zamiar opowiedzieć, tyczy się jednego z najpiękniejszych klasztorów w Polsce, o którym ludzie bardzo mało wiedzą albo nie mają wogóle pojęcia nawet, co, gdzie, jak. Mianowicie jest to klasztor OO. Dominikanów, znajdujący się w Podkamieniu, w województwie tarnopolskiem. Klasztor, który należy wymieniać w liczbie czterech miejsc największych odpustowych i pielgrzymowych w Polsce. Są nimi Wilno, Częstochowa, Kalwarja i Podkamień. To ostatnie słynne z cudów Matki Boskiej. Opowiadania legendarne zebrane wskazują, że klasztor ten istniał już od XIII wieku. Historyczne zaś dzieje klasztoru podkamieńskiego datują się dopiero od wieku XV, od tego również czasu wszystkie cuda a także i łaski, jakie N. P. Marja przez wieki miała rozlewać. Wznosi się on na wysokiej górze, gdzie przechodził wszelkiego rodzaju napady. Znajdował się on na linji ataków, jakie tędy stale przez wszystkie wieki przechodziły. Burzony, palony, okradany naprzód przez Tatarów, potem Moskali, Austrjaków, OO. Dominikanie, nie zniechęceni takim stanem rzeczy, swoją ciężką pracą doprowadzali znowu klasztor do poprzedniego stanu. Nie zaniedbywali bynajmniej gromadzenia bezcennych skarbów. Niestety bezcenne te skarby zostały częściowo także zrabowane na rozkaz cesarza Józefa II i wywiezione na ośmiu furach. Biblioteka, która posiadała wprost bezcenne i niewykorzystane źródłowo dokumenty, została podczas bombardowania przez Moskali zupełnie spalona. Przez nich także zostało spalone i doszczętnie zniszczone wspaniałe muzeum.

Do tego klasztoru, który powyżej pokrótce scharakteryzowałem, odnosi się bardzo ciekawa opowieść.

A było to dosyć dawno i tak się zaczęło: W pobliżu, w rozległej okolicy, otaczającej ową górę, na której stał klasztor, zbierały się tłumy ludności. Przychodzili oni z bardzo dalekiej krainy, jechali miastami, borami nawet przez kilkanaście dni i tygodni. Czy to byli kalecy, czy chorzy na jakieś niewiadome i nierozpoznawane przez wszystkich znachorów choroby, czy też wreszcie upośledzeni przez jakieś tajemne siły. Przyjeżdżali tu i zakładali sobie całe miasteczka niejednokrotnie na dłuższy czas. Pewnego też poranku przybyła wielka rzesza rzeźników, masarzy, szynkarzy. Przybyli też i szewcy. Zjeżdżali się oni z bardzo dalekich okolic w celu złożenia hołdu Matce Boskiej. Modlili się, rozmyślali i wykonywali wszystkie, jakie tylko były możliwe w one czasy, praktyki religijne. Wszyscy pragnęli gorąco przebłagać Matkę Boską za swoje niecne czyny. Jak jeden mąż ślubowali w świętem miejscu poprawę.

Pamiętają doskonale ten fakt ludzie. Długo podanie o nim krążyło z ust do ust. Tembardzej opowieść ta zachowała się, gdy sam zjazd tych grzeszników odbił się smutnie na okolicznej ludności. W tym okresie bowiem wszyscy ci rzeźnicy, masarze i szynkarze nie pełnili swego zawodu. Później zaś po złożeniu hołdu, większa część tych ludzi porzuciła swój zawód dla umożliwienia sobie bezgrzesznego życia.

„Poprawa" tych wszystkich masarzy rozniosła się wielkiem echem po okolicznych krainach. Doszła także do rezydencji djabła, która wówczas znajdowała się gdzieś na dalekiej północy w Skandynawji. Jego królewska mość djabelska wiedział, że coś się koło niego źle dzieje, nie mógł jednak początkowo odnaleźć źródła tego niepokoju. Żył bowiem w samotności, oddając się wyłącznie sprawom administracyjnym swojego królestwa. Stąd też nagła wiadomość, która przypadkiem dotarła na dwór jego, stanowiła wielki cios.

Zaniepokojony djabeł postanowił działać i to natychmiast. Długo jednak głowił się nad najwyszukańszą formą tej zemsty. Powołał nawet specjalną radę, złożoną z najwyższych dygnitarzy służby djabelskiej.

Po długich naradach postanowił zabrać największy, jaki istniał wtedy koło jego rezydencji głaz i zburzyć nim doszczętnie klasztor, niszcząc w ten sposób raz na zawsze święte miejsce, słynne z cudów i pielgrzymek. W ten sposób miało zniknąć miejsce, w którem rezydowała jego „największa konkurentka", jak on był zwykł często mawiać o Matce Boskiej.

Po wielu poszukiwaniach wybrał wreszcie taki głaz, którym miał dokonać dzieła zniszczenia, tak koniecznego dla całości i potęgi upadającego państwa djabelskiego. Głaz ten, o ogromnych rozmiarach, niósł władca djabelski na pazurze swego jednego palca. Taka w nim była moc i potęga!

Droga była bardzo uciążliwa i ciężka, tembardziej, że postanowił on w jak najkrótszym czasie dotrzeć do słynnego miejsca. Gdy już był niedaleko, mniejwięcej o jakie trzysta do czterystu metrów od cudownego miejsca, spotkało djabła największe nieszczęście. Przyczyną jego stał się kur, tak znany z licznych opowiadań.

Mianowicie, gdy był już blisko ze swoim głazem — kur zapiał. Przerażony tem djabeł mimowoli upuścił ogromny głaz. Głaz spadł na cerkiew, wówczas tam się znajdującą, na niewielkim pagórku. Zniszczył on cerkiewkę i rozwalił cały pagórek. Siła tego uderzenia była tak wielką, że według opowiadań, okoliczni mieszkańcy odczuli jakby trzęsienie ziemi, które jednak nie uszkodziło samego klasztoru.

Głaz ten jednak obdarzony widocznie szczególną siłą djabelską rósł i rósł, zamieniając się w olbrzymią górę. Niebezpieczeństwo więc nie zostało zupełnie oddalone. Głaz nadal groził całości świętego klasztoru.

Wieść o tem niebezpieczeństwie rozeszła się szybko po okolicznych ziemiach. Wnet też zjawili się magnaci i szlachta, aby ratować klasztor od zagłady. Naradzali się i szukali wszelkich możliwych sposobów, aby tylko zniszczyć głaz. Żaden jednak szczęśliwy pomysł nie przychodził im z pomocą. Wówczas zwrócili się z prośbą o pomoc do Matki Boskiej. Początkowo i to nie dało rezultatów. Niektórzy więc zniechęceni opuszczali już ręce, wielu wyjechało.

Aż pewnego pięknego dnia przyjechał z wielkim orszakiem jakiś nieznany rycerz w czarnej zbroi. Znaki, jakiemi były zaopatrzone jego tarcze, nie były nikomu znane. Twarzy też nie mogli ujrzeć, ponieważ miał spuszczoną przyłbicę, cały zaś był okryty ciężką zbroją. Rycerz ów z nikim nie rozmawiając, podszedł odrazu pod ciągle rosnący głaz. Chodził, robił jakieś tajemnicze znaki, wymawiał słowa nikomu niezrozumiałe, a przypominające w swoim dźwięku zgrzyt żelaza. Praktyki te stosował rycerz w czarnej zbroi przez dłuższy czas. Nie jadł przytem i nie pił, w przeciwieństwie do owych magnatów, którzy zniechęceni daremnemi wysiłkami, pili i jedli, wesoło się bawiąc, a obserwując praktyki nieznanego rycerza, zaczęli się z niego wyśmiewać.

Wkońcu, po dość długim czasie, ów tajemniczy rycerz, wraz ze swym orszakiem odjechał. Odjechał, nie żegnając się z nikim, odjechał tak tajemniczo, jak się ukazał. Wówczas bawiący się w pobliżu panowie przybyli z ciekawości zobaczyć, co też ten tajemniczy rycerz uczynił. Gdy znaleźli się w pobliżu, przekonali się ze zdumieniem, że głaz przestał rosnąć. Zrozumieli swój błąd i postanowili go naprawić, a przedewszystkiem odszukać rycerza i podziękować za nie zwykłe ocalenie i przeprosić za krzywdy.

Rozjechali się więc wszyscy na poszukiwania rycerza, postanawiając, że po latach mają się ponownie spotkać w tem miejscu, by zdać sprawę z wyników swoich poszukiwań.

Minęło wiele lat. Ludzie już zapomnieli o tym fakcie. Grupa jednak magnatów związana węzłem przysięgi, znowu pewnego roku ukazała się na tem samem, co przed laty, miejscu. Niestety wszyscy przybyli smutni, zniechęceni. Żaden z nich nie spotkał się z tajemniczym rycerzem. Natomiast z radością przekonali się, że niebezpieczeństwo nie zagraża już cudownemu klasztorowi. Głaz nie tylko, że nie powiększał się, lecz przeciwnie kruszał, zmniejszając się z roku na rok

I stoi do dzisiaj klasztor w Podkamieniu i króluje w nim Cudowna Matka Boża a legendarny głaz djabelski, powoli wietrzejąc, żyje swą prastarą legendą...

Karol Kleszczyński.

Dokończenie ze str. 5-ej.

łego składnika zielonego, a dolna warstwa część niebiesko-zieloną obrazu (pozostałe po odjęciu światła czerwonego od światła białego). Prześwietlając białem światłem taki film podczas projekcji otrzymujemy na ekranie obraz kolorowy, wiernie odpowiadający obrazowi zdejmowanemu przy nakręcaniu filmu. Technika wywoływania tych kolorowych filmów, opisana przez nas w nrze 49 „Asa“ z ub. r., jest tak skromplikowana, że narazie amatorzy filmowi swoje filmy kolorowe posyłają do wywoływania wytwórniom tychże filmów.

Do zdjęć kolorowych nadają się przedewszystkiem przedmioty o żywych barwach i o stosunkowo znacznych kontrastach kolorowych, jak np. stroje ludowe, barwny ogród kwiatowy, jesienne kontrasty drzew liściastych i szpilkowych, światła neonowe w nocy i t. d. Najlepiej udają się zdjęcia kolorowe objektów intenzywnie oświetlonych. W tym wypadku barwy występują silnie i naturalnie. Niezwykle ważną rzeczą jest przy tego rodzaju zdjęciach właściwe naświetlanie filmu, gdyż inaczej kolory mogą na nim wyjść przesunięte i nienaturalne.

Można być pewnym, że także i u nas, podobnie jak i zagranicą kinematografja amatorska zyska sobie zczasem coraz więcej zwolenników. Nie często technika dzisiejsza dostarcza nam tak miłych urządzeń i aparatów, przyczyniających się do zwiększenia radości życia i do dłuższego zachowania w pamięci chwil przyjemnych lub szczególnie ważnych.

Inż. J. A.

KĄCIK FILATELISTYCZNY

Jeśli filatelista rozmawia z kimś, kto ma tylko blade pojęcie o wartości znaczków, musi mu zawsze długo wyjaśniać, że t. zw. marka katalogowa nie równa się jednej „Rentenmark“. Z tego powodu proponujemy, aby nazwać poprostu ową markę katalogową punktem, i mówić zamiast np. 17,4 M. według katalogu Senfa = 17,4 pkt. Senfa; zamiast 33 franki według Yverta = 33 pkt. Yverta. Wobec tego, że najczęściej wymienionym jest u nas katalog Michla, będziemy odtąd używać stale zamiast „marka Michla“ = 1 pkt. Jest to, jak przypuszczamy, wielkie ułatwienie, gdyż każdy zgóry będzie np. żądać za punkt 33 grosze, płacić po 30 itd. itp. Obecnie, gdy kurs franka francuskiego jest tak zmienny, mało kto chce zrozumieć, iż pkt. Yverta jest jednostką, która nie podlega dewaluacji i dlatego logiczniejszem będzie jeśli odróżnimy pojęcie wartości katalogowej od giełdowej danej waluty.



Serja znaczków łotewskich, przedstawiających rozmaite pomniki ku czci żołnierzy poległych w walce o niepodległość Łotwy.

Znakomite pismo filatelistyczne, wychodzące w Wiedniu pod nazwą „Postmarke“ i w Niemczech jako „Sammlerwoche“, wystąpiło z niezwykle ostrym artykułem przeciw „blokom“. Ujawniono przytem wiele machinacyj, na których kupcy-grosiści (z Brukseli) zarobili kolosalne sumy. Odbywało się to poprostu w ten sposób, że zamawiano naprzód w ministerstwie poczt danego kraju wydanie „bloku“, gwarantując sprzedaż całego nakładu i zapewniając sobie dostawę ogromnego kontyngentu.

Możnaby na ten temat spisać całe tomy. Ostateczna konkluzja jest jednak następująca: I: filateliści powinni się sprzeciwić temu, aby w przyszłości wydawano już jakiekolwiek „bloki“. II: każde państwo, które może to uczynić, powinno wydać dawne bloki w nowym nakładzie, zaopatrzone tylko napisem „nowodruk“. Przypuszczamy, iż tak się nie stanie. Brak jednolitej organizacji wśród zbieraczy naraża ich na wydawanie ogromnych sum na znaczki absolutnie niepotrzebne.

Byłoby to prawdziwym sukcesem filatelistyki, jeśliby nikt nie kupił nowo zapowiedzianego wydania „bloków“ i cały nakład powędrował tam, gdzie jest jego właściwe miejsce, t. j. do kosza. Kiedyś się tak stać musi, ale narazie pokup „bloków“ trwa w dalszym ciągu.

Prawdziwą ironją jest np. to, że Krakowskiemu Związkowi Filatelistów przyznano „aż“ po 1 serji polskich bloków na członka. Przeciętny zbieracz potrzebuje nie na zarobek, ale do wymiany conajmniej po 20 seryj i jak długo każdy z nas nie będzie mógł nabyć dowolnej ilości bloków, sytuacja zbieraczy będzie nadal tragiczna.

W. H.

O uszkodzeniach znaczków

Czy warto zbierać znaczki uszkodzone — to problem, który będzie istniał tak długo, jak długo ludzie zajmować się będą filatelistyką. Trzeba jednak już wytrawnego zbieracza, aby umiał on trafnie ocenić czy dany „zdefektowany“ egzemplarz nadaje się jeszcze do jego zbioru, czy też należy go odrzucić. Przedewszystkiem należy wszystkie znaczki uszkodzone oznaczać, dając mały znak w albumie nad daną sztuką. Wartoby tu było przyjąć pewien system dla własnej i cudzej orjentacji i znaczek prześwietlony cechować małem kółkiem, przerwanem kreseczką, o brakujących ząbkach literą „v“, bez gumy przy niestemplowanych literą „x“, złamany literą „z“ itd.

Jest to ogromne ułatwienie, bo odrazu wiadomo, gdzie należy szukać błędu, a jeśli uzyska się po jakimś czasie sztukę idealną, wymazanie ołówkiem danego znaku w albumie nie przedstawi najmniejszej trudności.



NA FALI

T. WITOWIECKI

NOWELA

— Jeżeli dzisiaj mogę nazwać się szczęśliwym, to tylko przez przypadek — zaczął Stefan Nowowiejski, wysoki blondyn, o marzących, jasnych oczach, otoczony gromadką przyjaciół, popijających „czarną z likierem" w modnej kawiarni na Marszałkowskiej.

— Czy znowu spotkała cię jaka przygoda — spytał z ironicznym uśmiechem, zlekka łysawy młodzian o znudzonej twarzy — tylko proszę cię, Stefciu, bez blagi, bo...

— Daj spokój — wtrącił sąsiad — niech opowiada, ty zawsze musisz wlepić swoje trzy grosze. Patrzcie, jaki prawdomówny.

— No, zacznijże wreszcie — nalegała reszta towarzystwa, — bo gotowiśmy naprawdę pomyśleć, że na poczekaniu coś skomponujesz.

Stefan skinieniem dłoni uciszył wzburzone kółko, nie spiesząc się zapalił papierosa i otoczony kłębami dymu, rozpoczął swoją dziwną opowieść:

— Wiecie zapewne, że tego roku urlop spędziłem nad morzem. Do dziś dnia jednak nie zdaję sobie sprawy, co mnie właściwie tam zagnało, bo przecież planowałem, już dwa miesiące wcześniej, wyjazd do Zakopanego i nawet poczyniłem pewne przygotowania do wycieczek w góry. Mógłby ktoś powiedzieć, że to przeznaczenie, ale ja przecież w takie głupstwa nie wierzę i uważam to raczej za dziwny zbieg okoliczności, poprostu za zwykły przypadek. W każdym razie, o ile sobie przypominam, ktoś z moich znajomych wrócił z Gdyni i tyle mi o cudownej pogodzie i podróżach statkiem naopowiadał, że chociaż byłem prawie gotowy do drogi w góry, rzuciłem w kąt wszystkie przewodniki i wsiadłem do pociągu, zdążającego na Hel.

— Istotnie pogoda bajecznie dopisała. Już z okna pociągu nie mogłem się nacieszyć nieskończoną taflą morza, które w promieniach słonecznych drgało, jak żywe srebro. Setki żaglówek, jak rój małych owadów, lawirowało po horyzoncie, a nad tem wszystkiem płachta błękitu prawie bez jednej chmurki. Znacie zresztą to potężne uczucie, jakiego człowiek za każdym razem doznaje, gdy zobaczy tę przeogromną, szmaragdową przestrzeń, przytłaczającą, lecz w tym jednostajnym szumie przynoszącą zarazem ukojenie skołatanym nerwom, po wytężającej całorocznej pracy w zgiełku wielkiego miasta.

— Zamieszkałem w małym domku rybackim, tuż nad samem morzem, więc całemi godzinami obserwowałem grzywiaste fale, mknące ku piaszczystemu wybrzeżu, lub przez lornetkę podziwiałem okręty, których długie karawany sznurem ciągnęły z Gdyni na zachód. Czułem się wyśmienicie w tej samotni. Towarzystwa przecież żadnego nie pragnąłem, a choć co wieczór dolatywały mnie śmiechy i krzyki licznej gromady rozbawionych letników, jakoś zupełnie mnie nie kusiło, by pójść na dancing, czy też na spacer i przyjrzeć się tej wesołej rzeszy.

— W tym samym domku sąsiadował ze mną emerytowany kapitan z żoną i dorosłą córką. Tej ostatniej wogóle na oczy nie widziałem, bo całemi dniami siedziała na plaży, a wracała dość późno. Dopiero mój gospodarz, coś niecoś mi o niej opowiedział, unosząc się nad jej urodą i temperamentem. Nie omieszkał też napomknąć o młodych adoratorach, którzy dla pięknej panienki zupełnie głowy potracili.

Pewnie jakiś młody brzdąc — pomyślałem — który dopiero wyszedł ze szkół i tu czuje się w swoim żywiole, gdzie rodzice więcej zwracają uwagi na piękne widoki, niż na córkę, a moralność jest elastyczna, niczem sprężyna.

Pewnego dnia, gdy samotność zaczęła mi już trochę dolegać, postanowiłem pójść na plażę. Tłumy zaległy nieskazitelną biel piasku. Ani nie przypuszczałem, że tylu jest letników w bieżącym sezonie. Jedni natłoczeni, w wykopanych przez siebie dołkach, leżeli nieruchomo, twarzą ku słońcu, tylko ckliwa woń roztopionej wazeliny zawisła nad nimi nieruchomym obłokiem, świadcząc wymownie o poświęceniu i ofiarności tych ludzi dla pięknego koloru swej doczesnej powłoki. Inni, ująwszy się za ręce, wśród wybuchów szalonego śmiechu, pędzili naprzeciw spienionych grzebieni, przewalających się z hukiem fal, lub rozciągnięci, w wygodnych plecionych fotelach, w krytym pawilonie, przy szklankach oranżady, bawili rozmową piękne nimfy, w bajecznie kolorowych kostjumach. Onieśmielony plażowym zgiełkiem, usiadłem na uboczu, śledząc z zaciekawieniem wesołe ludzkie kłębowisko, gdy z morza, widocznie po dłuższej zabawie, wybiegło kilka osób i pędem zmierzało w moją stronę. Mimo woli zwróciłem wzrok w tym kierunku i ujrzałem prześliczną blondynkę, w zielonym kostjumie i takiejże czapeczce, w towarzystwie trzech, na bronz opalonych dryblasów. Teraz dopiero zauważyłem, że koło mnie leżą w nieładzie części damskiej garderoby, zapewne własność nadeszłej syreny. Chciałem niepostrzeżenie się usunąć, by nie psuć zabawy wesołej gromadce, lecz wiotka postać złotowłosej dziewczyny przykuwała mnie do miejsca. Wyjątkowo ładna — myślałem — wbijając zachłannie wzrok w nieznajomą. Istotnie, nad wyraz zgrabna, o kształtnych smukłych nóżkach, mogła uchodzić za piękność, a czupurna grzywa mieniących się jasnych włosów czyniła ją dziewczynkowato młodą, choć przypuszczam, że „naście" dawno u niej już minęło. Raz po raz wybuchała kaskadą dźwięczącego śmiechu, ukazując dwa rzędy śnieżno białych zębów, nie mówiąc już o figlarnych dołeczkach w twarzy, które czyniły ją jeszcze ponętniejszą.

Panienka zapewne musiała zauważyć mój natarczywy wzrok, bo kilka razy rzuciła ukradkiem ciekawe spojrzenie, a nawet się uśmiechnęła.

Tymczasem niestrudzeni adoratorzy sadzili się na komplementy, które sypały się niby grad na piękną dziewczynę.

— „Panno Milu — mówił słodziutkim głosem czarny jak cygan drągal — pani spojrzenie ma naprawdę moc sugestywną i gdyby pani rozkazała zdaje mi się, że nawet...".

— To się tyko panu zdaje, panie Tadeuszu — przerwała mu dziewczyna. — Mój Boże, z jaką rozkoszą wyboksowałbym na neutralnym gruncie tego bałwana — myślałem z pasją. I to taki kretyn ma przystęp do tak pięknej kobiety. Żeby cię...

— ...gdyby tak było, jak pan mówi — kończyła panna Milcia, to nie dałby się pan prosić tyle razy o przejażdżkę kajakiem po pełnem morzu.

— To tylko dla pani dobra — tłumaczył brunet — nigdybym sobie tego nie darował...

— Nie pleć Tadziu — przerwał podtatusiały blondyn — sam się boisz i basta. Lepiej niech pani ze mną pojedzie, godzę się zgóry choćby do Ameryki. Miła byłaby taka przejażdżka, co Stasiu? — dodał półgłosem, zwracając się do trzeciego adonisa, który przygnębiony elokwencją obydwu, utkwił żałosny wzrok w uroczej dziewczynie.

Szewska pasja mnie brała na tego rodzaju propozycje wyleniałego donżuana, więc choć mogłem dowiedzieć się jeszcze niejedno o pannie Mili, wstałem i nie oglądając się na przygodnych sąsiadów, ruszyłem do domu. Nie mogłem przecież wiedzieć, że para jasnych oczu pobiegła za mną, a nawet z pewną satysfakcją spostrzegła moją irytację.

Skwaszony dzisiejszą przygodą, wyciągałem się na łóżku i wziąwszy do ręki rozkład jazdy statków, układałem w myśli wycieczki, które od jutra postanowiłem rozpocząć. Ale po chwili spostrzegłem się, że mimo napozór skupionej uwagi, zupełnie nie orjentuję się, co w broszurze jest napisane, natomiast coraz intensywniej powracam myślami do nieznajomej blondyneczki, która rzecz dziwna, kogoś mi bardzo przypominała. Ale kogo? Zakochałem się, czy co u djabła — myślałem, śmiejąc się w duchu. Ot poprostu zapytam kapitana, on tu zna prawie wszystkich...

Uspokojony spojrzałem na zegarek. Dochodziła piąta. Doskonale się składa — myślałem — kapitan tyle razy zapraszał mnie na bridża, więc pod tym pretekstem tam pójdę i wszystkiego się dowiem. Kilka chwil i już byłem pod drzwiami mego sąsiada.

— Właśnie oboje z żoną wybieraliśmy się na spacer — wyjaśniał tubalnym głosem gospodarz — ale kiedy się trafia taka oka-

BAŚŃ ZIMOWA

MATILDA ROSS,

zja, bo i córka jest w domu, to służę z przyjemnością. Milu — tu zwrócił się ku przymkniętym drzwiom, prowadzącym do drugiego pokoju — przyszedł pan Nowowiejski, o którym ci tyle opowiadałem.

Ciarki przeleciały mi po grzbiecie, gdy usłyszałem to imię. Prawie równocześnie otwarły się drzwi i ukazała się ku mojemu najwyższemu zdumieniu nieznajoma z plaży, która spowodowała przecież moją wizytę w tem mieszkaniu.

— Moja córka — pan Nowowiejski... Jak przez sen uścisnąłem wysportowaną łapkę i mruknąłem zażenowany coś pod nosem.

— Mam wrażenie, że się już znamy z widzenia — rzekła swobodnie z czarującym uśmiechem panna Mila.

— Pewno z przystani — powiedziałem, odzyskując powoli równowagę — prawie codziennie tam chodzę — kłamałem jak najęty.

— No, zaczynajmy. Milu rozdaj karty — zawołał gospodarz, siadając za stołem.

Wiecie, że uchodzę za niezgorszego gracza, lecz tego dnia stanowczo robiłem pociągnięcia jak laik. Całe szczęście, że moje urocze vis à vis zdawało się tego nie spostrzegać, choć takie bykI strzelałem, że jeszcze dzisiaj na samo wspomnienie robi mi się nieprzyjemnie.

Już się ściemniało, gdy skończyliśmy partję. Uprzejmie zapraszany na rewanż, zbierałem się do odejścia, lecz panna Mila zastąpiła mi drogę:

— Już pan chce uciekać, to nieładnie. Całemi dniami pan się gdzieś chowa jak pustelnik, choć na takiego wcale mi pan nie wygląda — dodała z filuternym uśmiechem. Dzisiaj wybieramy się całą „paczką" na dancing i musi pan nam koniecznie dotrzymać towarzystwa.

W innych warunkach napewno z radością przyjąłbym zaproszenie, ale perspektywa spędzenia wieczoru „z całą paczką", ściślej mówiąc w towarzystwie owych trzech mygusów, wcale nie przypadła mi do gustu.

— Naprawdę z największą przyjemnością — zacząłem trochę się jąkając — ale ja przecież nie tańczę — zełgałem z miejsca — a taki balast o ile wiem, wcale nie jest pożądany na dancingu.

Usiłowała oponować: — O, tak pan tylko mówi, ale jestem przekonana, że pan tańczy, chyba... — tu spojrzała na mnie badawczo — że pan nie ma ochoty...

Przekląłem w duchu idjotyczną farsę, jaką niepotrzebnie zainscenizowałem, lecz nie można było teraz nic zmienić. Więc choć byłem niemal przekonany, że dziewczyna mi nie wierzy, jeszcze raz podziękowałem za miłe zaproszenie, ubolewałem nad własną niegrabnością i życząc przyjemnej zabawy, udałem się do siebie. Ale jakoś nie mogłem sobie znaleźć miejsca w pokoju, myśląc o mym głupim koncepcie. Wściekły nałożyłem sweter i poszedłem na przechadzkę, mimowoli kierując się w stronę przystani.

Z kawiarni położonej tuż nad molem, dolatywała rzewna melodja tanga... a ja, chętniebym się wypoliczkował za moje bezsensowne postępowanie, zawróciłem ku domowi i choć pora była jeszcze wczesna, postanowiłem się położyć. Zaświeciłem więc lampę i zacząłem się rozbierać, gdy przypadkowo zauważyłem na stole otwarty rozkład jazdy okrętowej.

— A jakby tak zaproponować Milci jutro po południu przejażdżkę statkiem — błysnęła mi szczęśliwa myśl — pewnie nie odmówi, bo przecież sam słyszałem, jak prosiła o to jednego z towarzyszy. Uradowany pomysłem zasnąłem spokojnie, śniąc o cudownej podróży we dwoje, tylko rzecz dziwna, przez cały czas wchodził mi w drogę ów czarny młodzian, który poprostu ryczał ze śmiechu, gdy grzecznie zwracałem mu uwagę na niewłaściwe jego zachowanie.

— — — — — — — — —

Wcześnie rano zerwałem się z łóżka i upewniwszy się w przystani, że statek odjeżdża do Gdyni o trzeciej po południu, zakupiłem dwa bilety. Zadowolony z siebie, usiadłem na ławeczce koło domu, niby przeglądając gazetę, a właściwie wypatrując, kiedy mój ideał będzie wychodził na plażę.

Jakoś koło jedenastej skrzypnęła furtka i ukazała się moja złotowłosa, nucąc jakiegoś foxtrotta. Zoczywszy mnie zawołała:

— Dzień dobry! O, jaki ranny ptaszek z pana, ale to nie sztuka, gdy nie chodzi się po dancingach — dodała z nachmurzoną minką.

— Panno Milu, — zacząłem — chciałem pani coś zaproponować.

— Słucham pana — rzekła, przyglądając mi się ciekawie.

— Czy nie miałaby pani ochoty dzisiaj po południu przejechać się statkiem do Gdyni... zauważyłem, że na chwilę zmarszczyła brwi i złośliwe ogniki zamigotały w jej cudnych oczach. Lecz już się roześmiała i na poczekaniu palnęła:

— Bardzo żałuję, ale już wczoraj na dancingu umówiłam się z panem Tadzikiem, że pojedziemy łodzią na wycieczkę. Może innym razem, jeśli pan taki uprzejmy. Zresztą ja i tak choruję na morską chorobę, więc naco panu taki balast — rzekła, akcentując każde słowo. — Dowidzenia i szczęśliwej podróży życzę — wołała już zdaleka.

Stałem jak rażony gromem. To ci ładną dała mi odprawę. Naturalnie, że zrewanżowała mi się za wczorajszą odmowę. Ale cóż ona właściwie sobie wyobraża — tu zbudziła się we mnie zadraśnięta ambicja męska. — że mnie można wystrychnąć tak na dudka, jak któregoś z jej półgłówkowatych kawalerów? Otóż pojadę sam! A dzisiejszy wypadek niech będzie na przyszłość dla mnie nauczką, by nie zadawać się z byle „kozą". Może być pewna, że drugi raz jej czegoś podobnego nie zaproponuję.

Punktualnie o trzeciej byłem już na statku.

— Kiedy będziemy w Gdyni? — spytałem kapitana, układając sobie w duchu plan wesołej zabawy u przyjaciela, o którym sobie dopiero teraz przypomniałem.

— Nie prędzej, jak za dwie godziny — rzekł kapitan — dmie dzisiaj silny wiatr północny i morze jest bardzo niespokojne.

Rzeczywiście zaledwie odpłynęliśmy kilkaset metrów od brzegu, dało się odczuć silne kołysanie. Ogromne bałwany waliły z wściekłością o rufę, a motor naszego parowca miał nieladajaką pracę, by pokonać piętrzące się góry wodne.

Pasażerów było na statku niewielu. Widocznie niepewna pogoda odstraszyła ich od przejażdżki — myślałem, patrząc z zachwytem na rozgniewany Bałtyk. Wtem, marynarz, stojący na rufie, uderzył w dzwon i krzyknął:

— Człowiek za burtą!

Istotnie, o kilkadziesiąt metrów od statku, borykał się z falami jakiś mężczyzna, zapewne bardzo już osłabiony, bo co chwila znikał pod wodą i tylko ręka, wyciągnięta w naszym kierunku, błagała o ratunek. Na statku powstał nieopisany zamęt. Wszyscy chcieli pomagać, lecz jak zauważyłem, tylko utrudniali akcję załogi.

— Proszę zejść do kajut — rozkazał kapitan — państwo tylko możecie zaszkodzić. Wyrzucić koło ratunkowe — zwrócił się do marynarza.

Lecz tonący już widocznie zaczął tracić przytomność, bo koła zupełnie nie chwytał i coraz częściej znikał w zielonej otchłani. Uczułem dziwny ból w sercu.

— Panie kapitanie! — krzyknąłem, chwytając go za rękaw — trzeba coś robić, bo ten człowiek idzie na dno.

— Niech się pan odczepi, do stu piorunów! — ryknął rozgniewany wilk morski — wiem dobrze, co robię. — Bosman spuścił szalupę!

Zdawałem sobie jasno sprawę, że zanim łódź dotknie wody, tamten napewno już utonie. Pchnięty jakimś dziwnym impulsem, błyskawicznie zrzuciłem marynarkę i jednym susem przesadziłem barjerę. Ogarnęła mnie skłębiona masa szalejącego żywiołu. Wiecie, że pływam nieźle i nawet kiedyś stawałem do zawodów, lecz tu wśród huczących bałwanów czułem się jak nowicjusz. Nadludzkim wysiłkiem dotarłem do miejsca, gdzie ostatnio ukazała się ręka tonącego. Nie dalej, jak dwa metry odemnie wynurzyła się znowu głowa. W mgnieniu oka byłem przy topielcu i mocno złapałem go za szyję. Nie usiłował nawet wydostać się na powierzchnię, gdy wyczerpany do ostatnich granic, zmierzałem, ciągnąc go pod wodę, w stronę statku. Ale po kilku sekundach, mój pasażer zaczął mi ciążyć już na serjo. Raz po raz ogromna fala przykrywała nas obu, a wówczas czułem dziwny ból w płucach i zamęt w głowie, jakby tysiące dzwonów waliło gdzieś w pobliżu.

Pewno już tonę — myśl, jak piorun błysnęła mi pod czaszką. Ostatnim wysiłkiem drętwiejących ramion wydobyłem się na powierzchnię wraz z topielcem, który teraz obłapił mnie wpół i dusił poprostu w żelaznym uścisku. Lecz prawie w tej chwili kilkanaście silnych rąk pochwyciło nas i wciągnęło do szalupy. Byliśmy uratowani...

Jak przez sen przypominam sobie, że gdzieś mnie zaniesiono, potem ktoś bez litości nagniatał mi żołądek, a wreszcie pogrążyłem się w zupełną nicość.

Gdy przyszedłem do siebie, zorjentowałem się, że leżę w kajucie kapitana. Statek jeszcze ciągle się kołysze, widocznie jeszcze nie dobiliśmy do portu — pomyślałem — i dziwnie jakoś spokojnie zacząłem się zastanawiać, co mnie właściwie pchnęło do tak ryzykownego kroku.

Mimowoli rzuciłem okiem na przeciwległą ścianę i ujrzałem długą postać niedoszłego topielca, zagrzebaną w koce aż po uszy, kóry teraz chrapał w najlepsze. — Kto wie, coby się stało z biedakiem — myślałem, z rozrzewnieniem obserwując czarną głowę młodego chłopca — gdyby nie moja decyzja.

Nagle jakieś dziwne przeczucie ścisnęło mnie za gardło. Wyskoczyłem z łóżka i choć nogi odmawiały mi jeszcze posłuszeństwa, jednym skokiem byłem przy śpiącym. — Na Boga! Toż to przecie ów Tadzik, który umawiał się na wycieczkę po pełnem morzu z Milą. Ugięły się podemną kolana. Jak szalony chwyciłem za ramiona spoczywającego chłopca i tak długo nim potrząsałem na wszystkie strony, aż jęknął i otworzył nie bez trudności nabiegłe krwią oczy.

— Panie — ryknąłem, nie panując już nad sobą, — gdzie panna Mila?! — A ów spojrzał na mnie, jak na warjata, poczem uśmiechnął się blado i wyszeptał: — Panna Mila została w domu. A ja sam, by pokazać... — Nie dałem mu skończyć, lecz pełen ogromnej radości, pochwyciłem chłopca w ramiona i przycisnąłem mocno do piersi...

Mój bohaterski wyczyn — kończył Stefan z uśmiechem swoją opowieść — rozszedł się lotem błyskawicy po całem wybrzeżu. Zaczęły się więc podziękowania, gratulacje i inne dla zwykłego śmiertelnika nieprzyjemne historje, tak, że musiałem wracać do Warszawy...

— No, a panna Mila i ów topielec? — posypały się pytania zaciekawionych przyjaciół. — Dokończże wreszcie...

Stefan, nie spiesząc się, zapalił zgasłego papierosa i pokazując mały, damski pierścionek na palcu, rzekł:

— Panna Mila jest moją narzeczoną. Ślub nasz odbędzie się koło Bożego Narodzenia, o czem zresztą nie omieszkam was osobno zawiadomić.

— A Tadzik?

— Tadzik jest moim serdecznym przyjacielem i już się zamówił na pierwszego drużbę...

KAWALEROWIE MALTAŃSCY

Często słyszy się o Kawalerach Maltańskich i sądzi — że ludzie do tego Zakonu należący są jego członkami poprostu z czystego snobizmu — a tymczasem mało komu jest wiadomem, iż Zakon ten posiada tradycję wielowiekową, pełną niezwykłego bohaterstwa i poświęcenia — a należeć do niego mogą jedynie ludzie, którzy niezbicie wykażą swe pochodzenie szlacheckie tak po mieczu — jak i po kądzieli, conajmniej kilka pokoleń wstecz. Zakon Kawalerów Maltańskich sięga swem istnieniem czasów wczesnego chrześcijaństwa, kiedy to Karol Wielki założył w Jerozolimie, niedaleko kościoła św. Grobu — na placu, zwanym później Muristanem — szpital i kościół pod wezwaniem Najśw. Panny Marji. W niedługi czas potem królewska ta fundacja uległa zniszczeniu — a odrestaurowali ją w latach pomiędzy r. 1048—1065 kupcy włoscy z miasta Amalfi, którzy ponadto dobudowali tam schronisko dla pobożnych pielgrzymów. Zakonnicy tam osadzeni przybrali nazwę Joannitów lub Szpitalników, od kaplicy szpitalnej, poświęconej św. Janowi. W ten sposób zaczęła się historja sławnego potem zakonu, który mając za główny cel swego istnienia walkę z niewiernymi i opiekowanie się chorymi, otaczany był opieką przez możnych ówczesnego świata chrześcijańskiego, a w r. 1113 uzyskał swe zatwierdzenie przez papieża Paschalisa II.

Różne koleje losu przechodził później Zakon Kawalerów Maltańskich, tak jak różną była jego moralność. Przyczyniwszy się skutkiem swego rozprzężenia wewnętrznego do utraty Palestyny, przesiedla się do Ptolemaidy, następnie zaś po zdobyciu jej przez Saracenów na wyspę Cypr. Ale niedługo tam popasał. W r. 1309 osiedlają się zakonnicy na wyspie Rhodos, od której przybierają nazwę Rycerzy Rodyjskich. Wreszcie po okresie swego renesansu i bohaterskich walk z niewiernymi — potem tułacze do Kandji i Messyny, otrzymują Kawalerowie Rodyjscy od Karola V w lenne posiadanie wyspy: Maltę, Gozzo i Comino, z warunkiem ciągłej walki z niewiernymi i korsarzami. I wtedy przybrali Rycerze Rodyjscy od swego nowego siedliska nazwę Kawalerów Maltańskich. Następuje drugi, bohaterski okres tego zakonu, okres walk z Turkami — a w późniejszych już czasach aż do okresu napoleońskiego zmienne koleje losu zmuszają zakon do opuszczenia Malty i obrania sobie za stałą siedzibę najpierw Katanji na Sycylji, potem Ferrary, a w końcu Rzymu. W 1779 r. papież Leon XIII przywraca i potwierdza dawne przywileje zakonu, który m. in. posiadał również i w Polsce swoje siedlisko. U nas znany był pod nazwą Zakonu Joannitów i posiadał dwie komandorje: poznańską i stwołowicką, ufundowaną w 1610 r. przez Radziwiłłów. Później Janusz ks. Ostrogski, kasztelan krakowski, zapisuje zakonowi swą ordynację, zniesioną wprawdzie przez sejm z r. 1766, lecz w r. 1776 potwierdzoną znów przez Stany Rzeczypospolitej wraz z ustanowieniem wielkiego przeorstwa i 6-ciu komandoryj z dóbr ostrogskich. Konstytucja z 1775 r. pozwoliła na założenie jeszcze nowych komandoryj i w ten sposób Zakon Kawalerów Maltańskich utrzymał się w Polsce aż do dnia dzisiejszego.

Ostatnia bytność przedstawicieli Kawalerów Maltańskich w Krakowie i hołd złożony przez nich w krypcie Marszałka Piłsudskiego na Wawelu, przypomniały społeczeństwu polskiemu, że w jego kraju istnieje gałąź tego Zakonu, posiadająca kilkuwiekową tradycję, a reprezentowana dzisiaj przez członków najpierwszych rodów polskich.

c.



Na prawo: Kawaler dewocyjny Stanisław Taczanowski z Podrzecza z złotą kasetką, która zawierała ziemię z Malty, złożoną na Sowińcu.



Uczestnicy delegacji polskich Kawalerów Maltańskich na Sowińcu.



Na lewo: Kawalerowie Maltańscy z baliwem honorowym zakonu Alfredem Chłapowskim na czele opuszczają kryptę pod Wieżą Srebrnych Dzwonów na Wawelu po złożeniu hołdu prochom Marszałka Piłsudskiego.



Ambasador Chłapowski wpisuje delegację Kawalerów Maltańskich do księgi pamiątkowej na Sowińcu.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA FOT. „AS"



W ŚLAD ZA „GWIAZDAMI" NAOKOŁO ŚWIATA

Nie trzeba wertować baedeckerów, nie trzeba tracić czasu u Cooka na wybieraniu drogi naszej podróży, nie trzeba troszczyć się o hotele, pociągi, ani połączenia okrętowe; obejdziemy się doskonale bez słownika, tłumacza, bez wielu kosztów. Udajemy się w podróż naokoło świata, doskonale zorganizowaną przez genjalnego odkrywcę nowoczesnych podróży — przez kino.

Wyjeżdżamy w świat któregoś wieczora, mając za cały bagaż chęć wrażeń, tęsknotę za dalekimi krajami, pragnienie zapoznania się z czarem przygód. Zostawiamy poza sobą Warszawę, uwiecznioną na taśmie filmowej dobrze znanym nam „Trędowatych", „Piętro wyżej", „Ferdków i Merdków". Udajemy się do Wiednia — „Wiednia, miasta moich marzeń" (pokazują je nam Lilian Harwey i Harry Liedtke), jedziemy przez Prater różnych słodkich dziewczątek, przypominamy sobie stary Wiedeń z pierwszej części „Niedokończonej Symfonji", „Kongresu tańczącego" i „Liebelei". Myślimy o smutnej tragedji „Mayerlingu" (Danielle Darrieux i Charles Boyer), ale cudne widoki Tyrolu odwracają nasze myśli ku pięknym jeziorom z „Lac aux Dames", gdzie Simone Simon jest uroczym Pukiem; lub ku śnieżnym krajobrazom filmów Luis Trenkera. Przekraczamy niepostrzeżenie granicę i oto górzysta Szwajcarja, jej legendy („Wilhelm Tell" z Conradem Veidtem), waśnie góralskie — („Rapt" Kirsanoffa z Ditą Parlo), życie współczesne („Jesienna przygoda" Willi Forsta).

A oto już błękitne jeziora włoskie z filmu „Anna i Elżbieta" z Dorotheą Wieck i Hertą Thiele — i zjeżdżamy do Włoch. Wenecja, miasto lagun... Przewijają się przed nami barwne kostjumy z „Kupca Weneckiego" (Werner Krauss) i „Casanovy" — Mozżuchina, czarne gondole w „Barkaroli" z Gustawem Fröhlichem i Lidą Baarową, olśniewa nas niezapomniana wizja lubiczowskiej Wenecji w filmie „Złodziej w raju", gdzie podziwialiśmy Kay Francis, Miriam Hopkins i Herberta Marshalla.

Jadąc stąd do Florencji (pamiętamy Elżbietę Bergner w „Skrzypku z Florencji"), zatrzymamy się w Weronie, gdzie Romeo i Julja odżyją dla nas pod postacią Normy Shearer i Leslie Howarda. A chcemy jeszcze ujrzeć Neapol — „Neapol śpiewające miasto", gdzie usłyszymy Kiepurę i zobaczymy Martę Eggerth w melodyjnym filmie „Casta Diva". Zwiedzimy Pompeę, wspominamy jej „Ostatnie dni", w których grała Marja Corda i, w obawie przed wybuchem Wezuwjusza („Biała siostra" z Lilian Gish), udajemy się na Korsykę, znaną nam z wszystkich filmów o młodości Napoleona.

A teraz pociąga nas Lazurowy Brzeg. — Monte Carlo z filmu „Bomby nad Monte Carlo" Anny Sten, morskie plaże i pensjonaty w filmach „Rose" z Jean Servais i „Pension Mimosa" z niezapomnianą Françoise Rosay i wiele, wiele innych. Już przed nami Marsylja, jej życie portowe, tak barwnie przedstawione w filmach Marcela Pagnola: „Marius", „Fanny", „Cesar" i okoliczna Prowancja w „Angèle" i „Tony" Renoira, a wreszcie wrota na morze: „La Porte du Large" z Marcelle Chantal i „Nasze sojuszniczki" z Madeleine Renaud.



Jesteśmy blisko Hiszpanji: widzimy ją w potężnym filmie Pabsta „Don Kichot" i również, jakże stylizowaną, w filmach „Pokusa" i „Kobieta i pajac" z Marleną Dietrich, „Carmen" w dwukrotnym wcieleniu Dolores del Rio i Raquel Meller, oraz wielu innych. Marokko hiszpańskie i Legję Cudzoziemską widzieliśmy w „Banderze" Duviviera, dokąd przyjechaliśmy z Jean Gabin z Madrytu, a francuskie w niezapomnianym „Marokku" Sternberga, gdzie Marlena Dietrich i Gary Cooper jeszcze dziś nas zachwycają. A może zapuścić się na chwilę w bajeczny kraj „Atlantydy", którą wcieliła nasza rodaczka Napierkowska, a później Brygitta Helm, posłuchać co „Afryka mówi" nad dalekiem Kongiem lub śpiewów murzyńskich w filmie „Bozambo"? Ale nie, jedziemy do Egiptu, gdzie Claudette Colbert przebrała się za „Kleopatrę" i, wspominając „Dziesięcioro przykazań" i „Księżyc Izraela", przechodzimy przez pustynię do Ziemi Świętej („Golgota" i „Król królów"), by poprzez dawne świetności krajów z Tysiąca i jednej nocy: „Złodziej z Bagdadu" i „Arcyzłodziej z Damaszku" podążyć w kierunku Indyj, znanych nam oddawna z „Grobowca Indyjskiego", „Najukochańszej żony Maharadży", a ostatnio z „Bengali i Kima".

Singapore! Wsiadamy w porcie na statek, by „na Wschód od Singapoore" (grała Joan Crawford i Ramon Novarro) nie stracić połączenia z „Shanghai-ex-pressem", którym pojedziemy wraz z Marleną i Clive Brookiem. Do Mongolji zawiezie nas „Błękitny express" Trauberga, który nam przypomina, że w naszej podróży użyliśmy już innych expressów: „Sud-express", którym jechał Conrad Veidt i „Orient-Express", gdzie zachwycała nas Lil Dagover. Mijamy Japonję i przestarzałą „Madame Butterfly", na chwilę wylądować chcemy u Eskimosów, to film „Eskimo" z Malą i „Igloo" — i nieco już przyzwyczajeni do mrozów i wiecznych śniegów, szukamy śladów Chaplina na Alasce, wspominamy „Gorączkę złota", „Zew krwi" (Loretta Young i Gable) i „Klondyke Ann" Mae West.

Wracamy do cywilzacji: oto wielki port San-Francisko. Pamiętamy go z czasów jego przeszłości — „Frisco" z Ruth Chatterton i „San-Francisco" z Jeanette Mac Donald i Clark Gablem. A teraz w stronę słonecznej Kalifornji! Bajeczne Hollywood, znane z tysiącznych filmów, wysuszony Meksyk („Le tonnere sur le Mexique" Eisensteina, porywający „Viva Villa" z Beerym), a dalej już przelot przez Andy z Gablem i Montcomerrym: „Nocny lot", by wylądować wreszcie w Rio, którego niebezpieczeństwa nieraz przedstawiano w filmach: „Szlakiem hańby" z Malicką, „Droga do Rio" z Kathe de Nagy i Jean-Pierre Aumont. I znowu New-York: życie emigrantów, to Luis Trenker w „Synu marnotrawnym" miljonerów („Pan z miljonami" — Gary Cooper), jak i skromnego robotnika i jego miłości („Samotni" Fejosa).

Ciągnie nas jasna Floryda: „New York — Miami", to znów daleki Zachód („Wielka karawana" z Mary Pickford i Liesle Howardem), z New Yorku można z równą łatwością pojechać do Chicago („Scarface" i dziesiątki filmów gangsterskich) — i jedziemy już na dzikim Zachodzie: cowboje, sombrera, gwałtowne gonitwy — któż ich nie zna!

Ale wracamy do Europy. Towarzyszymy bogatym Amerykanom („Sam Dodsworth" — Ruth Chatterton i Mary Astor) w podróży przez Atlantyk zatrzymujemy się na chwilę w Irlandji (poznajemy Dublin z świetnego „Potępieńca" z Mac Laglenem i z „Rewolty w Dublinie" z Barbarą Stanwych i Margo), aby udać się do Londynu: „Trafalgar" z Freddie Bartholomew i Tyrone Power, „Kawalkada" z Clive Brookiem i Dianą Wynyard, „Oliwer Twist", „Mister Jekyll and Mr. Hyde" z Frederikiem Marchem, wreszcie „Lady Hamilton" z Veidtem. Z mglistego portu w „The scarlett Pimpernell" wyjeżdżamy z Anglji: mijamy Szwecję i jej legendy („Skarb Arnesów", Gösta Berling"), nie zatrzymujemy się w Danji Patów i Patachonów, zbliżamy się nareszcie do Gdyni. „Wiatr od morza", „Rapsodja Bałtyku", „Awantura Amerykańka" — i koniec podróży. Czy była piękna? Czy warto było wyprawić się tak daleko... nie ruszywszy się z fotela? A te wszystkie przyjemności, wrażenia i przeprawy zapewnił nam najmilszy wynalazek XX wieku — kino. Kino wszędobylskie i wszystko widzące, kino ruchliwe, bez trudu i troski pozwalające podróżować bez kłopotliwych wyjazdów!...

Alicja Brun.

SALON KRAKOWA WIECZOREM

Zdjecie z wieży kościoła N. P. Marii. Fot F. Nowicki.



NASZA ★ NOWA ★ ANKIETA

CO WIEM O MIŁOŚCI?

5. Światopełk Karpiński.

Jak traktują temat o miłości ludzie, których udziałem jest tworzenie w naszej literaturze humoru? Zapewne bardzo wesoło. Z tem przekonaniem zwróciłem się o wywiad do p. Światopełka Karpińskiego, wybitnego warszawskiego poety i satyryka, którego cięte dowcipy i satyry oddawna obiegają z wielkiem powodzeniem scenki kabaretów literackich stolicy.

— Czy mogę pana prosić o wywiad? — zacząłem rozmowę.

— Czy to coś ponurego, czy wesołego? — słyszę odpowiedź w formie dalszego zapytania?

— Coś wesołego na temat poważny — proponuję. — O miłości.

Światopełk Karpiński uśmiecha się i mówi:

— Wobec tego bardzo chętnie udzielę wywiadu. Tak często o błahych sprawach mówi się rzeczy poważne, że warto o zjawisku tak wiecznem jak miłość, powiedzieć kilka głupstw. Właśnie dla równowagi.

— A zatem — jak mógłby pan sprecyzować najważniejsze według pańskiego mniemania, kanony miłości?

Poeta-satyryk zastanawia się chwilę, poczem oświadcza:

— Moja odpowiedź będzie krótka i zamknie się w trzech zdaniach. Oto one:

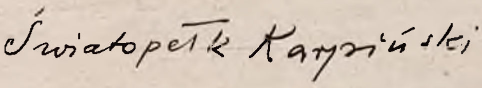
I. Miłość jest to walka dwóch egoizmów, na której zwykle najlepiej wychodzi egoizm trzeciej osoby".

II. „Zazdrość jest to saldo, wyrównujące różnicę w bilansie zakochanych".

III. „Jeśli jest prawdziwy powód do zazdrości — to nie warto być zazdrosnym. Jeśli niema żadnego powodu, to tembardziej nie warto. Prawdopodobnie dlatego wszyscy zakochani są zawsze zazdrośni...".



Światopełk Karpiński.



6. Krystyna Chruścielska.

Czy można sobie wyobrazić zgrupowanie w jednej ankiecie wielu odpowiedzi na temat miłości, nie oddając głosu młodej, pięknej i zakochanej dziewczynie? Nie! Przyznam się szczerze, że długo szukałem kobiety, któraby odpowiadała tym założeniom, a która jednak przytem odczuwałaby miłość jako poetka. Wreszcie znalazłem ją... w Łodzi.

P. Krystyna Chruścielska, mimo swych autentycznych dwudziestuczterech lat jest znaną i cenioną na terenie Łodzi poetką. Jej miłe, nastrojowe liryki drukowane są regularnie od kilku lat w łódzkiej prasie codziennej, pozatem zaś młoda poetka znana jest szerokim rzeszom słuchaczy radja z audycyj poświęconych jej poezjom.

Panna Krystyna rozmawia z nami o miłości... z widocznem wzruszeniem:

— To jest temat, o którym trudno jest mówić — słyszę wynurzenia poetki — ot tak, na zawołanie. Może zgodzi się pan, że zaproponuję: najlepsze, mojem zdaniem, wyjście z sytuacji, to jest takie, aby wywiad mógł się odbyć, a jednocześnie, abym o temacie tym mogła pomyśleć samotnie, w skupieniu.

— Ależ bardzo chętnie — odpowiadam — jakież to będzie wyjście?

— Poprostu zamiast wywiadu, napiszę specjalnie dla „Asa" wiersz, pod tytułem: „Co wiem o miłości".

— Ależ doskonale — zgadzam się — kiedyż go otrzymam?

— Przyślę go panu do redakcji...

Po kilku dniach nadchodzi wierszowany wywiad Krystyny Chruścielskiej:

CO WIEM O MIŁOŚCI...

Według mnie nic prostszego niema od miłości,
Jest przecież wciąż ta sama, zawsze jednakowa,
Wyrażona z akcentem największej szczerości,
Zamknięta w zwykłych, pełnych sentymentu słowach.

Słodkie słowa miłości subtelnie i złudnie
Czarują pięknem wiersza, refrenem piosenki,
Wypełniają cudowne, złote popołudnie,
Są początkiem rozkoszy, szczęścia czy udręki.

Choć bywają mówione bezmyślnie, nieszczerze
Tak miło jest się łudzić, może są prawdziwe?
Tak dobrze jest ich słuchać i tak słodko wierzyć,
Że jasne dni nadejdą długie i szczęśliwe.

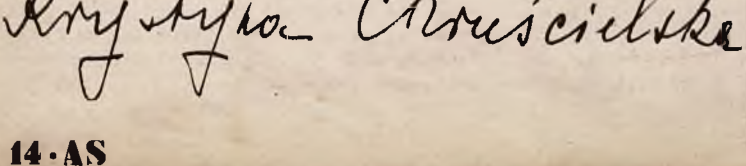
Miłość jest przecież zawsze, wszędzie jednakowa,
Wiem, że uderzy w serce me rozstania ciosem
Lecz w tej chwili — czarują, upajają słowa
Mówione najpiękniejszym i najdroższym głosem.

7. Ola Obarska.

Ola Obarska, znana pieśniarka, artystka operetkowa i rewjowa, ulubienica Berlina.



Na prawo: Krystyna Chruścielska. — Fot. „As".



gdzie często śpiewa, i Warszawy, gdzie obecnie występuje w teatrzyku „8.15" w operetce Stolza „Narzeczona zaginęła" tak wypowiada się na temat naszej ankiety:

„Co wiem o miłości? — Że jest najcudniejszym motywem przewodnim operetki mojego życia. Co to jest „motyw przewodni"? Melodja, która stale wraca i dźwięczy poprzez różne inne melodje w różnych rytmach i odmianach, ale zawsze ta sama. Są też i kiepskie operetki, pozbawione przewodniej melodji, ale o nich mówić nie chcę, bo moje życie jest piękną operetką.

Otóż ten motyw przewodni czasami zagłuszy jakaś mocniejsza melodja, jakiś „brek", czy kakofonicznie brzmiący akord, lecz tylko poto, aby tem piękniej wyszła znowu na pierwszy plan jego harmonja.

Dużo chodzi po świecie ludzi głuchych, ślepych, nie rozróżniających kolorów, nie odczuwających piękna muzyki. Lecz najnieszczęśliwsi to ci, którzy przejdą przez życie i nigdy nie dowiedzą się, co to jest miłość.

Offenbach, Kalman, Lehar — oto wielcy twórcy pięknych motywów — im prawdziwszych, tembardziej zmiennych i zawsze innych. Mój motyw — to melodja miłości, stara jak świat i zawsze ta sama. Autorem jej, to moje serce!".

Poniżej: Tadeusz Dołęga-Mostowicz.— Fot. H. Skowrońska „Rafael", Warszawa.



Powyżej: Ola Obarska. — Fot. Residenz Atelier, Wiedeń.



8. Tadeusz Dołęga-Mostowicz.

Jeden z najpopularniejszych współczesnych powieściopisarzy, Tadeusz Dołęga-Mostowicz, zabierając głos w naszej ankiecie, ujmuje swą odpowiedź w formę następujących wynurzeń:

— „Znam trzy rzeczy wieczne: wieczną miłość, wieczną ondulację i wieczne pióro. Najtrwalszą z nich jest wieczne pióro. O jego wytrzymałości świadczy to, że nie ginie nawet od atramentu, podczas gdy z miłością często się to zdarza. Wystarcza najzwyklejszy anonim niezgrabną napisany ręką, by ją zabić lub beznadziejnie okaleczyć. Zbyt często porównywano miłość z kwiatami i musiało tak być, miłość bowiem jest kwitnieniem naszej duszy i naszego ciała. Lecz tak, jak botanikowi nie wolno mówić o samem kwiecie, z pominięciem całości rośliny, tak i pisarz, który musi z natury rzeczy być psychologiem, nie może zajmować się zagadnieniem miłości w oderwaniu od tego, co stanowi korzenie i łodygę kwiatu. Sam kwiat, kwiat zerwany, czy ścięty, żyje krótko, bardzo krótko. I miłość sama przez się umiera nieprawdopodobnie szybko.

— Jest zupełnie inaczej, gdy wyrośnie na urodzajnej glebie, gdy ma mocne, zdrowe korzenie i giętką łodygę. Otóż wierzę w miłość taką, w taką miłość, spotykaną bardzo rzadko, ale niewątpliwie istniejącą, trwającą latami, lat dziesiątkami. Warunkiem jednak jej istnienia są mocne korzenie, czyli charakter u mężczyzny, charakter nawskróś męski, takt u kobiety, ta giętka łodyga, której żaden poryw zdarzeń nie złamie, no i gleba. Tą glebą jest kultura wogóle, a kultura uczuć w szczególności u stron obu.

— A ponieważ zalety te spotykamy niezmiernie rzadko, miłość w naszych czasach przypomina ciągle kwiaty, co po kilku dniach więdną...".

* * *

Zapoczątkowana w poprzednim numerze „Asa" niezwykle interesującemi odpowiedziami pp. Lucyny Kotarbińskiej, Leny Żelichowskiej, Wacława Grubińskiego i Antoniego Cwojdzińskiego, nowa nasza ankieta na temat: „Co wiem o miłości?" wzbudziła w świecie artystycznym i literackim wielkie zainteresowanie, czego dowodem są liczne listy, napływające do redakcji „Asa", a omawiające pierwsze wyniki ankiety.

W tym numerze zamieściliśmy w kolejności opinje dalszych uczestniczek i uczestników ankiety. Wyróżnia się oryginalną formą odpowiedź p. Krystyny Chruścielskiej, utalentowanej poetki, podana płynnym, pięknym wierszem. P. Świętopełk Karpiński potraktował temat z właściwym sobie humorem. Definicje miłości i zazdrości przedstawiają się jakby żywcem wyjęte z „kodeksu handlowego". W odpowiedzi p. Oli Obarskiej brzmi nuta upojnego tanga lub zakochanego walca wiedeńskiego. Nic w tem dziwnego: mówi pieśniarka której serce bije w takt pięknych melodyj. P. Tadeusz Dołęga Mostowicz ujmuje swą odpowiedź w formę „botanicznych" rozważań przyrównując miłość do kwiatów. Jego wynurzenia kończą się melancholijnym, jesiennym akcentem. **Romit.**

Zamieszczona obok szkicowa mapka okolic, z których pochodzili nieżyjący bohaterowie oręża i najwybitniejsi poeci i pisarze polscy stanowi dalszy ciąg naszego zestawienia z nr. 37 „Asa“, którego celem jest graficzne przedstawienie nasilenia miejsc urodzin sławnych Polaków w poszczególnych dzielnicach ziem polskich. Dla orjentacji podajemy, że miecz oznacza bohaterów, pióro zaś pisarzy i poetów. Pod tymi znakami zaś widnieją liczby, oznaczające ilość urodzin na danym obszarze. *Red.*

BOHATEROWIE ORĘŻA

Ziemia Lwowska.

Jabłonowski Stanisław, hetman, 1634, Lwów — Jabłonowski Józef, generał, 1711, Lwów — Jan III Sobieski, 1629, Olesko — Jazłowiecki Jerzy, hetman, 1500, Buczacz — Kmita Piotr, 1477, Lesko — Krasicki Jakób, pułkownik, 1800, Lesko — król Leszczyński Stanisław, 1677, Lwów — Rozwadowski Tadeusz, generał, 1866, Lwów — Sanguszko Roman, hetman, 1537 — Szeptycki Stanisław generał, 1860, Przemyśl — Żółkiewski Stanisław, hetman, 1547, Turynka pod Żółkwią.

Ziemia Krakowska.

Bem Józef, generał, 1794, Burek — Chrzanowski Wojciech, generał, 1793 — Dąbrowski Jan Henryk, 1755, Pierzchowce powiat Bochnia — Firlej Mikołaj, 1450, Dąbrowica — Głowacki Bartosz, 1750, Rzędowice — Jakubowski Józef, generał artylerji, 1743, Kraków — Koniecpolski Stanisław, hetman, 1591 — Kącki Jan Marcin, generał, 1650 — Kamieniecki Mikołaj, hetman wielki, 1474, Odrzykoń — Lubomirski Jerzy, hetman, 1616, pod Krakowem — Potocki Mikołaj, hetman, 1600, Potok Złoty — Potocki Stanisław, hetman, 1579, Potok Złoty — król Władysław III Warneńczyk, 1424, Kraków — król Zygmunt II August, 1529, Kraków.

Ziemia Warszawska.

Dwernicki Józef, generał, 1779, Warszawa — Jeziorański Antoni, 1821, Warszawa — Kozietulski Jan, generał, 1781, Skierniewice — Łukasiński Walerjan, major, 1786, Warszawa — Ordon Julljusz, generał, 1810 — Prądzyński Ignacy, generał, 1792, Warszawa — Pułaski Kazimierz, 1747 — Skrzynecki Jan, generał, 1787.

Wielkopolska.

Arciszewski Krzysztof, generał, 1592, Rogalin — Bolesław I Chrobry, 966 — Chłapowski Dezydery, generał, 1788 — Jasiński Jakób, generał, 1759 — Kiliński Jan, 1760, Trzemeszno — Krzyżanowski Włodzimierz, generał amerykański, 1824 — Mokronowski Stanisław, generał, 1760, Bogucin — Madaliński Antoni, generał, 1739 — Mirosławski Ludwik, 1814 — Langiewicz Marjan, 1827, Krotoszyn.

Ziemia Wileńska.

Chodkiewicz Jan, 1560, Szkłowo — Jagiełło Władysław, 1350 — Koziełło Jan (pułkownik Skała), 1832 — Małachowski Kazimierz, generał 1765, Wiśniowo — Piłsudski Józef, 1867, Żułów.

Ziemia Podolska.

Dwernicki Józef, 1779 — Jełowicki Edward, marszałek, 1803, Kubnik — Kazanowski Marcin, hetman, 1533 — Miłkowski Zygmunt (T. Jeż), pułkownik, 1824, Saracea — Różycki Kornel, generał, 1789, Czernijowice — Wiśniowski Michał Jeremi, hetman, 1612 — Wysocki Józef, generał, 1809, Podole.

Ziemia Wołyńska.

Iliński Antoni, generał turecki, 1812 — Kosiński Antoni, generał, 1769, pod Brześciem — Zajączek Józef, generał, 1752, Krzemieniec — Zamoyski Jan, hetman, 1542, Zamość.

Ukraina.

Czajkowski Michał (Sadyk Pasza), 1804, Halczyniec — Dąbrowski Jarosław, 1836, Żytomierz.

Podlasie.

Kościuszko Tadeusz, 1746, Siechnowicze, pow. kosowski.

Ziemia Kaliska.

Giller Agaton, 1831, Opatówek — Kruszewski Ignacy, generał, 1799, Susłowice.

Ziemia Kielecka.

Czarniecki Stefan, hetman, 1593, Czarnca.

POECI i PISARZE

Ziemia Krakowska.

Bałucki Michał, 1837, Kraków — Bielski Marcin, 1435 — Brodziński Kazimierz, 1791, Królówka pow. bocheński — Drużbacka Elżbieta, 1695, Tarnów — Drozdowski Jan, 1759 — Garczyński Adam, 1805, Tarnów — Górski Jakób, 1525, Kraków — Górnicki Łukasz, 1527, Oświęcim — Hozjusz Stanisław, 1504, Kraków — Jachowicz Stanisław, 1796, Dzików — Kochanowski Jan, 1530, Sycyna — Kochowski Hieronim Wespazjan, 1633, Gaj — Konarski Stanisław, 1700, Żarczyce — Morsztyn Hieronim, 1580, Wieliczka — Morsztyn Jan Andrzej, 1613 — Orkan Władysław, 1875, Poręba Wielka — Potocki Wacław, 1625, Wola Łużeńska — Rittner Tadeusz, 1873 — Rydel Lucjan, 1870, Kraków — Tarnowski Stanisław, 1837, Kraków — Wyspiański Stanisław, 1869, Kraków — Trembecki Stanisław, 1724 — Zabłocki Franciszek, 1751.

Ziemia Warszawska.

Bliziński Józef, 1827, Warszawa — Brzozowski Karol, 1821, Warszawa — Gąsiorowski Franciszek, 1807, Warszawa — Gomulicki Wiktor, 1850, Ostrołęka — Lenartowicz Teofil, 1822, Warszawa — Lemański Jan, 1866, Głażewo — Lelewel Joachim, 1784, Warszawa — Kraszewski Ignacy, 1812, Warszawa — Malczewski Antoni, 1793, Warszawa, Minasowicz Józef, 1718, Warszawa — Morawski Franciszek, 1805, Warszawa — Norwid Kornel Cyprjan, 1821, Laskowo — Oppman Artur, 1867, Warszawa — z Tańskich Klementyna Hofmanowa, 1768, Warszawa — Sarnecki Zygmunt, 1837, Warszawa — Suchodolski Reinhold, 1804 — Wolski Włodzimierz, 1824, Serock — Żmichowska Narcyza, 1819.

Ziemia Mazowiecka.

Gloger Zygmunt, 1845, Kamionka — Grochowski Stanisław, 1542, Wielkie Grochy — Konopnicka Marja, 1832, Suwałki — Paprocki Bartosz, 1545 — Perzyński Włodzimierz, 1878, Opoczno — Sarbiewski Maciej, 1595, Sarbiewo pod Płockiem — Sienkiewicz Henryk, 1846, Wola Okrzejska — Skarga Piotr, 1536, Grójec — Szymanowski Józef, 1748 — Trembecki Stanisław, 1730 — Wolski Włodzimierz, 1825, Pułtusk — Zieliński Gustaw, 1809, Markowice.

Ziemia Lwowska.

Fredro Aleksander, 1793, Suchorowo — Kaczkowski Zygmunt, 1826, Bereżnica w Sanockiem — Korzeniowski Józef, 1797, Brody — Krasicki Ignacy, 1735, Dubiecko — Łoziński Władysław, 1834, Lwów — Orzechowski Stanisław, 1500 — Przybylski Zygmunt 1853 — Rej Mikołaj, 1505, Żurawno nad Dniestrem — Rzewuski Wacław, 1706, Rozdół — Szarzyński Sęp Mikołaj, 1581 — Szajnocha Karol, 1818, pod Samborem — Szymonowicz Szymon, 1560 — Zacharjasiewicz Jan, Radymno, 1825 — Zimorowicz Józef, 1597, Lwów — Zimorowicz Szymon, 1608, Lwów — Zapolska Gabrjela, 1860, Lwów.

Ziemia Stanisławowska.

Gruszewski Artur, 1853, Kołomyja — Kaczyński Franciszek, 1741, Hołosków — Lam Jan, 1838, Stanisławów — Romanowski Mieczysław, 1834, Żuków.

Ziemia Białoruska.

Bohomolec Franciszek, 1720, koło Witebska — Dmuszewski Ludwik, 1774, Sokółka — Kniaźnin Franciszek Djonizy, 1750, koło Witebska.

Ziemia Sieradzka.

Strykowski Maciej, 1547, Stryków pod Łodzią.

Ziemia Kaliska.

Asnyk Adam, 1838, Kalisz — Garczyński Stefan, 1805, Kosmów — Tymowski Konterbery, 1790.

Wielkopolska.

Berwiński Ryszard, 1819, Półwica pow. średzki — Bogusławski Wojciech, 1757 — Czechowicz Wojciech, 1532, Zbąszyń — Gawiński Jan, 1622, Wielomowice — Janicki Klemens, 1516, Januszkowo — Klonowicz Sebastjan, 1550, Sulmierzyce — Kasprowicz Jan, 1860, Szymborg — Miarkowski Kasper, 1570, Smogorzewo — Opaliński Krzysztof, 1610, Sieraków — Przybyszewski Stanisław, 1868, Łojew pod Kruszwicą, Wilkoński August, 1805, Kąkolewo — Wujek Jakób, 1540 — Twardowski Samuel, 1600, Skrzypno.

Ziemia Podolska.

Miłkowski Zygmunt (T. Jeż), 1824, Saraceja n. Dniestrem — Przeździecki Aleksanden, 1814, Czarny Ostrów — Sowiński Leonard, 1831, Berezówka — Ujejski Kornel, 1823, Beremiany.

Dokończenie na str. 20-ej.

Ziemie, które wydały sławnych Polaków





10 PAŃ przy kierownicy



Na lewo: P. Zofja Kannenbergowa, wybitna lwowska sportsmenka podczas postoju na trasie rajdu.

W naszym biednym, zdemotoryzowanym kraju samochód prywatny ciągle jeszcze bywa sensacją, a już zjawiskiem zgoła nadprzyrodzonem jest samochód, prowadzony rączkami wytwornej kobiety. Gdy ulicami miasta mknie auto, kierowane przez kobietę, za wozem biegną zdziwione spojrzenia przechodniów. Ludzie zazwyczaj mniej zwracają uwagę na to, że pani prowadząca samochód, przez dobranie koloru lakieru, swego stroju, tworzy z całością wozu piękny, pociągający obrazek; raczej trwożliwie zapytują w duchu: Czy aby ona mnie nie przejedzie? Brzmi to paradoksalnie, ale uderzmy się w piersi i przyznajmy, iż tak jest istotnie .

Trudno narzekać na to, iż tak mało jeszcze pań naszych zasiada do kierownicy, skoro wogóle pod względem ilości samochodu znajdujemy się na szarym końcu krajów cywilizowanych, — gdzieś daleko poza Peru czy Hondurasem, a zdaje się nawet za Abisynją. Raczej podkreślamy z dumą, iż ta skromna liczba naszych automobilistek, biorących żywy udział w życiu sportowem, to dobra, wysoka klasa kierowczyń, które prędzej czy później muszą swym zapałem i przykładem pociągnąć za sobą liczne rzesze polskich sportsmenek. A samochód jest jakby stworzony dla kobiety. Wprawdzie powtarzają złośliwi, że „auto wymyślił mężczyzna, a kobieta do niego... maskotkę“, tem niemniej, nikt nie zaprzeczy, iż kobieta przy kierownicy odznacza się specyficznym urokiem. Sądzę, że żaden ze sportów tak bardzo nie nadaje się i nie odpowiada pięknej pani, jak sport samochodowy. Tu bowiem i chyba tylko tu, prócz zapału czysto sportowego, energji i odwagi, może kobieta włożyć wiele wysiłku w kierunku podkreślenia swych cech czysto kobiecych i podkreślić dbałość o estetyczny wygląd całości, umiejętność w dostosowaniu linji samochodu do panującej mody itd.

Dzięki uprzejmemu zaproszeniu Automobilklubu Polski, zostałem zaliczony do obsady jednego z wozów, biorących udział w dorocznym raidzie Automobilklubu na trasie Warszawa—Gdynia—Warszawa w konkurencji kobiecej, jaki odbył się w dniach 18 i 19 września br. Dwa dni obserwacyj naszych dzielnych kierowczyń, wśród trudów, a nawet niebezpieczeństw, jakie groziły zawodniczkom, przekonały mnie, iż kobieta potrafi w samochodzie nietylko ładnie wyglądać, ale i wykazać poziom najwyższej klasy sportowego wyczynu. Pozatem czołowe nasze „asy“ wśród pań-kierowczyń, zaimponowały mi wysokiemi kwalifikacjami i znacznem doświadczeniem w kierowaniu samochodem. Za wzór muszę tu postawić naszą mistrzynię, p. Halinę Regulską, która aż tak dalece przygotowywała się do raidu, iż na tydzień przed zawodami, objechała całą trasę, liczącą ponad 800 kilometrów!



Przed próbą rozruchu silnika (p. Irena Brodzka).

Przebieg raidu, jego warunki, oraz wyniki w poszczególnych konkurencjach, których było pięć (wyścig płaski, górski, rozruch silnika, hamowanie z jazdą wtył, oraz jazda na trasie Warszawa—Gdynia i zpowrotem)— są już znane z prasy codziennej; nie będę zatem zbyt długo się rozwodził nad tym tematem. Czytelników naszych, a jeszcze więcej piękne Czytelniczki interesować będzie raczej to, jak w czasie raidu zachowywały się zawodniczki i jakie były ich wrażenia. Starałem się z każdą z pań spędzić choć chwilę przy wozie i „wyłapać“ możliwie dużą ilość ciekawych szczegółów. Przedewszystkiem zwróciłem uwagę na to, czy panie same dają sobie radę z trudami zawodów, czy też i jak często odwoływać się musiały do pomocy mężczyzn.

Regulamin raidu przewidywał, iż obsadę wozu w czasie jazdy i wszystkich prób stanowić będą cztery osoby: kierowczyni, jej mechanik, kontroler z ramienia Automobilklubu oraz pasażer. Już sam regulamin zabraniał paniom zwracania się o jakąkolwiek pomoc do kontrolera lub pasażera(tymi ostatnimi byli przeważnie dziennikarze lub znajomi), a to pod grozą dużej ilości punktów karnych. Jedyna nadzieja w razie jakiegokolwiek wypadku, konieczności zmiany koła, opony, czy nawet wyciągania wozu z rowu (a zdarzył się taki jeden przypadek), to pomoc swego mechanika. Kim byli „mechanicy“ pań? Tylko w trzech



Wozy biorące udział w raidzie, wyruszają w drogę...

wypadkach, na dziesięć startujących maszyn, byli to zawodowi szoferzy; jedna z pań jako mechanika wiozła swego małżonka, inna znów kilkunastoletniego chłopca do pomocy, pozostałe zaś zaprosiły swych znajomych lub kolegów klubowych. Przeważnie więc wszystkie prace związane z obsługą wozu w czasie jazdy, wykonywały panie osobiście, nie lękając się zawalania rąk czy ubrania, byle tylko jazda szła sprawnie i w przepisowym czasie. Jeśli chodzi o tego rodzaju „poświęcenia się", rekord pobiła chyba p. Howorkowa, która wobec dwukrotnego zmieniania opon i to już, przed samą metą dojechała do Gdyni z rękami usmarowanemi wprost reprezentacyjnie.

Bohaterką dnia była p. Zofja Kanennbergowa, Lwowianka, która musiała dokonywać cudów przebiegłości, aby uchronić się od zaofiarowywanej przez przechodniów pomocy wówczas, gdy pod Płońskiem samochód jej wskutek pęknięcia opony na rozmokłej szosie, wjechał do rowu. Kilkanaście minut zaledwie, trwało wyratowanie samochodu z przykrej opresji. Trzeba podkreślić, iż dzielna pani Zofja brała udział w większym raidzie samochodowym po raz pierwszy w życiu; jest ona pilotką motorową i szybowcową, kategorji D 1. Do raidu stanęła z rękami obandażowanemi po urazach, których doznała, trenując przed zawodami zryw i hamowanie samochodu. Mimo wszystko pani Zofja ukończyła raid z humorem i w doskonałym nastroju. Narzekała tylko bardzo na to, że... ma taką słabą maszynę, z której nieda się „wydusić" większej szybkości i sprawności.



Minuta czasu na maquillage...

Jeśli chodzi o obywanie się bez pomocy mężczyzn w czasie jazdy, to najbardziej samodzielnie pracowała chyba p. Irena Brodzka, która — jak wspomniałem — wiozła ze sobą zamiast mechanika, chłopca do pomocy. Opony i koła zmieniała samodzielnie, czyniąc to w rekordowym czasie. Na pierwszym etapie, zmieniała ta zawodniczka dwa razy opony, tracąc na to zaledwie osiem i pół minuty. Pani Brodzka jest adwokatem w Łodzi, prowadzi samodzielnie kancelarję adwokacką; na raid przybyła wprost z rozprawy w sądzie, a w chwili, w której inne zawodniczki odpoczywały w Warszawie po trudach raidu, ona pędziła już swoim autem zpowrotem do Łodzi do swoich klientów.

Zdaniem fachowców-automobilistów, kobieta, prowadząca auto jest większą ryzykantką, niż mężczyzna. Panie nie lubią przegrywać. Jeśli się już decydują na wzięcie udziału w raidzie, to nie tyle z mocnem postanowieniem wygranej, lecz z obawą, aby nie przegrać. Tem też tłumaczą władze Automobilklubu, iż stosunkowo niewielka ilość pań bierze udział w raidach samochodowych. A przecież poniesienie porażki w zawodach z wybitną siłą — jest również zaszczytnem. Te więc panie, które stają w rzędzie zawodniczek, jeżdżą już energicznie, „gazują" ile się da. Pani Helena Howorkowa, żona adwokata p. M. Howorka z Poznania, tak się na ten temat odezwała do nas w Gdyni:

— Dwa zmartwienia mam podczas tego raidu: pierwsze, że z maszyny mej, dość słabej, nie można wycisnąć więcej niż 104 kilometry na godzinę (!); drugie, że jedzie ze mną mój mąż, który stale hamuje mnie przy zwiększaniu szybkości.

Pani Helena, młoda o wybitnej urodzie kobieta, o czarującym uśmiechu, młodego, szczęśliwego życia, była na raidzie, jakby dla kontrastu, najbardziej „śmiercionośną" kierowczynią. Niewątpliwie wskutek szybkiej jazdy uśmierciła ona po drodze dwa gołębie, kurę i psa. Mówi zresztą o tych wypadkach z widocznem niezadowoleniem.

* * *

Jak były panie ubrane? Oto pytanie, które niewątpliwie stawiają nasze Czytelniczki. Nie pisałem nigdy o modzie kobiecej — ale uczynię ten wyjątek. Otóż bardzo rozmaicie, od strojów wybitnie sportowych, do efektownych „popołudniowych" barwnych kostjumów angielskich.

Panie Halina Regulska, inżynierowa Anna Podhorodeńska i Zofja Ka-

Dokończenie na str. 20-ej.



Zwyciężczyni w raidzie p. Halina Regulska z córką Hanną.



P. Helena Howorkowa z Poznania

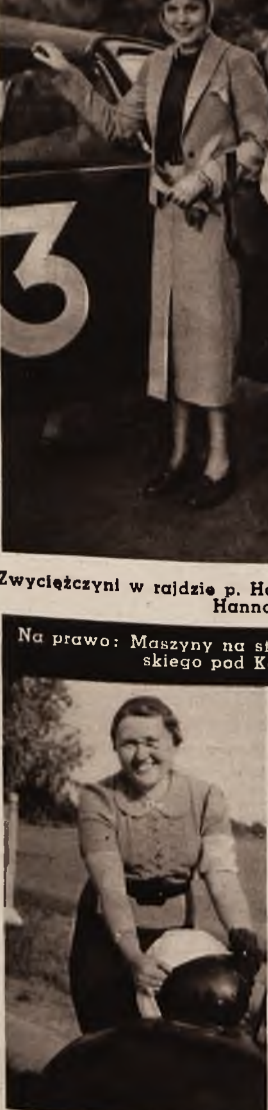


P. Inż. Anna Podhorodeńska z Warszawy.

Wszystkie zdjęcia fot. „As"

Na prawo: Maszyny na starcie do wyścigu górskiego pod Kartuzami.





Na lewo: P. Herta Wilska ze Śląska.

Dokończenie z str. 19-ej.
nenmbergowa, ubrane były w męskie kombinezony samochodowe. Ten strój podkreśla wybitnie sportowy charakter kobiety, niemniej jednak dodaje on kobiecie wiele wdzięku. Specjalnie nasza mistrzyni p. Regulska, znana Czytelnikom „Asa" z artykułu, specjalnie jej poświęconemu w rubryce „Panie, o których mówi stolica", prezentowała się uroczo dzięki temu, że jej kombinezon, uszyty był z jasnego jedwabistego płótna, przypominającego cienką balową tkaninę, do którego były świetnie dobrane oryginalne angielskie buciki golfowe.

Swego rodzaju sensację wśród widzów w miasteczkach, przez które przejeżdżały maszyny raidowe, budziła p. Brodzka, która nosiła na głowie kolorową chusteczkę chłopską. Twierdzi ona, że tego rodzaju nakrycie głowy jest bardzo praktyczne w czasie jazdy autem. Mniej widoczne na zewnątrz auta... były spodenki pani Brodzkiej, uszyte w ten sposób, iż na pierwszy rzut oka wyglądały na spódniczkę. — Właścicielka ich, była pozatem jedyną panią wśród zawodniczek, która nie wyrzekła się nawet na czas trwania zawodów bucików na wysokim francuskim obcasie.

Panna Krystyna Dydyńska, artystka-malarka, poświęcająca się wyłącznie projektowaniu, a nawet własnoręcznemu wykonywaniu nowoczesnych mebli, podróżowała w eleganckiej angielskiej marynarce uszytej na wzór męskich. Jako członkini swobodnie bytującego świata mala rzy, panna Krystyna nie zawahała się powiedzieć nam:

— Kocham w życiu trzy rzeczy: sa mochód, alkohol i marynarzy. Dlatego zdecydowałam się na ten raid i... na butelkę Mahandla w Gdyni (specjalna wódka, znana na Wybrzeżu), w towarzystwie rozkosznych chłopaków, naszych wilków morskich.

Najwięcej zharmonizowania z barwą lakieru samochodu wykazał strój p. Howorkowej — całość utrzymana w kolorze beige: pullowerek, spódniczka i płaszczyk.

P. Krystyna Walewska, właścicielka majątku Dołhobyczów pod Lublinem, prowadząca efektownego Mercedesa, ubrana była w sportową męską kurtkę skórzaną. Pani Małgorzata Baczewska, żona konsula Stefana Baczewskiego ze Lwowa, zaprezentowała wybitnie elegancki komplet wełniany. O pani Baczewskiej, która jest doskonałą narciarką, kursowało w czasie raidu żartobliwe powiedzenie, iż przy prowadzeniu auta, zwłaszcza na śliskiej, błotnistej drodze, mylą się jej narty z samochodem, wobec czego zakręca zawsze... christjanją. Podobno i p. Baczewska wprowadza w życie owe christjanje, kierując samochodem również i po prostej drodze, bez zakrętów.

* * *

Nastrój w czasie raidu był miły i serdeczny, może właśnie dzięki temu, że przy kierownicach zasiadły panie, nie zaś wyłącznie o swym motorze rozprawiający panowie. Należy to zapisać na plus kierowania auta przez kobietę. Nadzwyczajna uprzejmość dla pasażerów swego samochodu (tu też kobieta jest w pewnym zakresie „panią domu") i humor pań sprawiły, że na półmetku w Gdyni, choć nazajutrz czekało wszystkich wstawanie o trzeciej rano, bawiono się beztrosko.

Jak wiadomo, zawodniczce nie wolno używać innych narzędzi prócz tych, jakie wiezie ze sobą. Jedną z zawodniczek przyłapałem na gorącym uczynku — pożyczania od innej obsady... korkociągu.

— *Przepraszam panią* — mówiłem — *ja tak się interesuję wszystkimi szczegółami odnoszącymi się do raidu i obsługi samochodu... Czy mogłaby mi pani powiedzieć, do czego służy korkociąg?*

Pani stoi chwilę zmieszana poczem odpowiada z niewinną minką:

— *To? Ach, ten korkociąg? To do otwierania butelek... z benzyną.*

Oj ta benzyna!

R. B.

—o—

TAJEMNICA PIĘKNA KRÓLOWEJ PIĘKNOŚCI.

Każda królowa piękności zasypywana jest niemal, obok propozycji małżeństwa, pytaniami, w jaki sposób pielęgnuje swoją urodę, a kobiety na całym świecie, od skromnych urzędniczek aż do wytwornych pań, studiujących przez cały dzień żurnale mód, młode i stare, wiele dałyby za to, aby móc otrzymać odpowiedź na to pytanie. Ale są rzeczy, o których kobieta potrafi nie mówić, są tajemnice, których potrafi strzec...

To też wielką sensację wywołały zwierzenia królowej piękności, p. Edith H a m m o n d, która przez dwa lata z rzędu, t. j. w roku 1935 i w roku 1936 zdobyła tytuł „Miss London". Miss Edith Hammond zdobyła już uprzednio 25 nagród za piękność, a w roku 1933 została uznaną za najlepiej zbudowaną kobietę Wielkiej Brytanii.



P. Hammond mówi: „*Podstawą naturalnej piękności i wdzięku jest zdrowie, a zdrowie zależy od właściwego odżywiania i właściwego snu. Ja piję stale Ovomaltynę*" — mówi dalej piękna „Miss London" — *i uważam, że niema nic doskonalszego od tego smacznego napoju witaminowego, który uspokaja nerwy i sprowadza głęboki, naturalny sen. Nie mogłabym już obejść się bez Ovomaltyny*".

Czy wyznanie „Miss Hammond" skłoni panie do pójścia jej śladem i pielęgnowania ich urody w sposób naturalny, t. j. przez dbanie o racjonalne pożywienie i racjonalny sen — zobaczymy!

Dokończenie z str. 17-ej

Ukraina.

Czajkowski Michał, 1804, Berdyczów — Grabowski Michał (E. Tarszo), 1805 — Gliński Kazimierz, 1850, Wasylówka — Goszczyński Seweryn, 1804, Ilińce — Małaczewski Eugenjusz, 1895, Humań — Zaleski Bohdan, 1802 Goholewka.

Ziemia Podlaska.

Dmochowski Franciszek, 1762, Dmochy — Dzierzbicki Józef, 1807, Ksawerówka — Godebski Cyprjan, 1765 — Osiński Ludwik, 1775, Kock — Węgierski Kajetan, 1755, Wągry — Wężyk Franciszek, 1875, Witulin.

Ziemia Wileńska.

Bernatowicz Feliks, 1786 — Chodźko Ignacy, 1794, Zabłoczyn — Górecki Antoni, 1787, Wilno — Klaczko Juljan, 1827, Wilno — Kondratowicz Ludwik (Syrokomla), 1837, Smolnhowo — Korsak Juljan, 1807, Słonim — Mickiewicz Adam, 1798, Nowogródek — Naruszewicz Adam, 1733 — Niemcewicz Juljan Ursyn, 1758 — Odyniec Antoni, 1804, Giejstuny — Orzeszkowa Eliza, 1842, Milkowszczyzna pod Grodnem — Radziwiłłowa Urszula, 1705, Czartoryjsk — Rzewuski hr. Henryk, 1791.

Ziemia Lubelska.

Czacki Tadeusz, 1765 — Koźmian Kajetan, 1771, Gałęzowo — Klonowicz Sebastjan, 1545, Lublin — Malczewski Antoni, 1793, Krzemieniec — Pol Wincenty, 1807, Lublin — Słowacki Juljusz, 1809, Krzemieniec — Wasilewski Edmund 1814, Rogoźno.

Ziemia Wołyńska.

Feliński Alojzy, 1871, Łuck — Głowacki Aleksander (B. Prus), 1884, Hrubieszów — Krechowiecki Adam, 1850, Bereżyńce — Kołłątaj Hugo, 1750, Dederki — Pietkiewicz Antoni (Pług), 1824, Żytomierz — Rzewuski Aleksander Henryk, 1791, Sławuta — Woronicz Paweł, 1757, Tajkury pod Koryniem — Zabłocki Franciszek, 1754, Międzyrzecze.

Ziemia Kielecka.

Kajsiewicz Hieronim, 1822, Słowiki — Żeromski Stefan, 1864, Strawczyn.

Zestawił M. Dienstl-Dąbrowa.



NIE ZAWSZE BĘDZIE KOTEK...

Fot. Dr. Azet – Kraków

Koteczku, mleczko pić musi
bo jest cieplutkie i słodkie
słuchaj swej kociej mamus
i ciesz się, że jesteś kotkien

Kotek pić mleczko przestani
a w sercu mamusi kociej
wyrasta już spodziewanie
w dziwnej, dziewczęcej
tęskno

PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA“

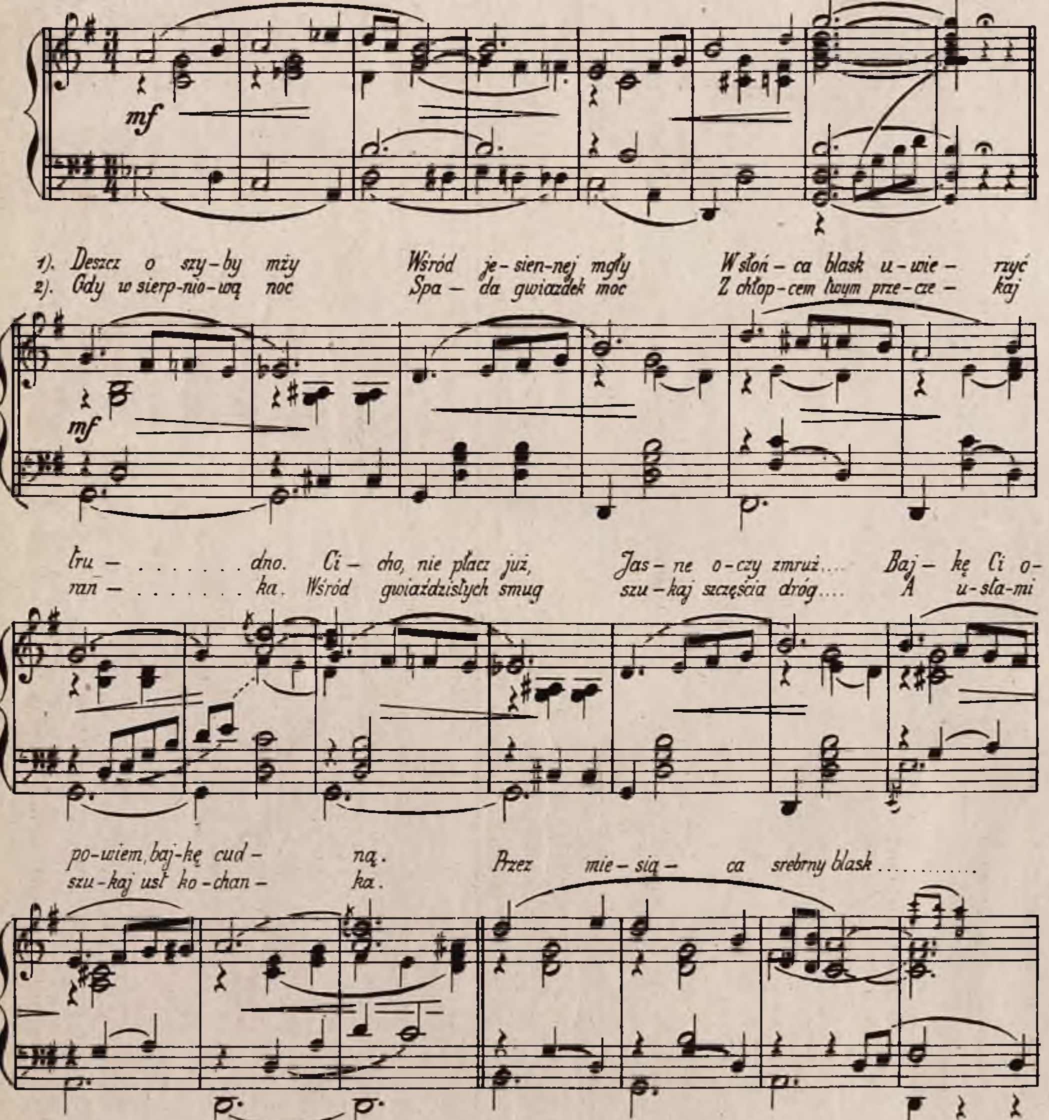
WRÓŻKA GWIAZD

PIOSENKA

Słowa:
HALINA ZBIERZCHOWSKA-GADOMSKA

Muzyka:
PAWEŁ KUCZERA

Valse lente.





OLIWSKA POTRZEBA

SZKIC HISTORYCZNY

NAPISAŁ ROMAN BACH-ŻELEWSKI

„Tedy mości panowie, powiadomiwszy was o sytuacji, takie daję instrukcje: rankiem ruszymy Szwedowi naprzeciw, z „Królem Dawidem" w przedniej straży. Zoczywszy wroga rozwiniemy szyk i gdy odległość będzie potemu dogodna, rozpoczniemy ogień z dział. Puszkarze muszą baczyć, by prochu nie marnować a możliwie największe damnum w statkach wrogowi poczynić i zmniejszyć jego przewagę liczebną. Unieruchomiwszy jeśli Bóg pozwoli poniektóre fregaty, szczepimy się z pozostałemi, by w walce na białą broń, do której nasi ludzie są sprawni nad podziw, Stiernskjöldowych milites pognębić. Baczcie jeno waszmoście, by kupą na jednego nie iść, bo pozostałe szwedzkie okręty mogłyby nam znaczną dywersją poczynić, lecz pojedynczo na swego najbliższego przeciwnika, a dopiero komu się poszczęści, niech najbardziej potrzebującemu w sukurs skoczy. Polecenia moje zgrubsza tylko wam mówią co czynić macie, bo dobrze znając waszą experientiam bellicam nie potrzebuję szczegółami się parać. Chciałem wam jeszcze to jeno powiedzieć: niemasz takiego ducem militemque, któryby bitwy nie pragnął wygrać, ale nam winno na tem zależeć jak nigdy nikomu. Wszyscyśmy byli świadkami jak Najmiłościwszemu Panu opornie szło wystawienie armaty, bo szlachta nie ma zrozumienia dla ważności panowania Polski nad mari Baltico. Nasza klęska wzmoże oną opozycję, zwycięstwo zmieni jeśli Bóg pozwolj opinionem communem! A wszyscy my, tak synowie Polski, jak i cudzoziemcy na żołdzie jeno będący, równo pragniemy dobra tej potężnej i tak miłej nam Rzeczpospolitej. Tuszę, że stawiając to waszym miłościom ad oculos, zagrzeję ich do najwyższego wysiłku! No, ale czas nam na spoczynek, by do jutrzejszej potrzeby stanąć w pełni sił".

Z temi słowy Arendt Dickmann, admirał armady królewskiej, powstał z ławy, a za jego przykładem inni oficerowie i skłaniając się na pożegnanie, wychodzili kolejno na dek. Groźne postacie najemnych zabijaków, co służąc coraz komu innemu, swój honor cenili i zawsze wiernie stali przy patronie, i pomorskich szlachciców, którzy od innej braci szlachty większe ku morzu skłonności mając, na przednich wnet żeglarzy się wyrobili, znikały w prostokącie drzwi. Ostatni wyszedł imć pan Fabjan Sychowski, który komendantem admiralskiego „Świętego Jerzego" będąc, honory gospodarskie czynił i gości do burty odprowadzał. Oparty o nią wpatrywał się w mgłą zasnutą przestrzeń.

Noc była ciemna, jeno blask latarni morskiej w Wisłoujściu i światła na okrętach z trudem przedzierając się przez mgłę, rzucały jasne smugi na rozchybotaną toń. Gdy plusk wioseł ostatniej z łodzi ścichł w oddali, ruszył pan Sychowski sprawdzić czy wszystko jest w należytym porządku. Obszedł cały dek, zaglądnął do zbrojowni i zeszedł do pomieszczeń majtków. Chwilkę wsłuchiwał się w ciężki, lecz spokojny oddech śpiących, poczem ruszył do admirała. Zastał go siedzącego jeszcze przy świetle kaganka nad rozłożoną na stole mapą wybrzeża. Dickmann spojrzał na niego pytająco.

— Chciałem jeno donieść Waszej Miłości, że wszystko ad pugnam jest nagotowane. Działa zatoczone do wyziorów, jeno płachty zdjąć a lontem przypiec. Proch i kule wydane i przysposobione, muszkiety takoż. Siekier, haków i lin poddostatkiem. Straże czuwają, reszta spi spokojnie. Czy Wasza Miłość ma coś do rozkazania?

— Nie, dziękuję waszmości. Jako widzę wszystko jest w najlepszym porządku, idź więc mości Sychowski spać, boć i tobie to równie potrzebne jak każdemu.

Pan Fabjan skłonił się i wyszedł. Czuł jednak, że zasnąć nie będzie mógł, więc poszedł na rufę i siadłszy na zwoju lin patrzył zamyślony przed siebie. Dziwno mu było, że tak przejął się mającą rankiem nastąpić bitwą. Wszak choć stary nie był, niejedno już w życiu przeszedł. Od młodości i z morzem i z żołnierką był zżyty. Pływał długo na małym brygu i korsarską manierą łupił Szwedów, nie z chęci rozboju, jeno gwoli przysłużenia się krajowi. Gdy więc usłyszał, że Król Jegomość armadę wodną sposobi a ludzi zaciąga, wraz do służby się zgłosił i wnet dobrze się zapisał, tak, że komendę „Świętego Jerzego" mu zdano. — A teraz usnąćby nie mógł? Rychło jednak jasnem mu się stało, że to nie lęk przed bitwą, lecz świadomość jej znaczenia sen mu z powiek płoszy. Życie spędziwszy na morzu łacno pojął wagę panowania nad niem. Wszak Szwedy choć w małym swym kraju wojsko przednie mają, cóżby niem zdziałali bez dobrze okrytej armady wodnej? Jej to zawdzięczają, że Gustaw Adolf łupieżczą ręką sięgać może po Gdańsk, Inflanty całe i elektorskie miasta. A drobne Niderlandy czemby były, gdyby nie wielka ich siła na morzu? Czyż wyzwoliłyby się z pod władzy potężnej Hiszpanji, czyż mogłyby zdobyć kolonje i tak bogacić się i róść w znaczenie? Czemby był dzisiaj Amsterdam? — A Szwed czy śmiałby polskie ziemie najeżdżać, wiedząc, iż nie dotarłszy nawet do nich, godną odprawę otrzyma?

Niestety społeczeństwo polskie tego nie rozumie. Szlachta ze zbożem do Gdańska jeździ i tam sprzedaje a dalszym jego losem się nie kłopota. Nie widzi, że handel ten większeby jej profity dawał, gdyby polskie statki zboże wiozły, bezpieczne w oparciu o silną armadę. Cóż kiedy szlachta oczy na wschód jeno ma zwrócone!

Westchnął ciężko i rozejrzał się po deku. U dzioba, grot-masztu i na rufie płonęły latarnie, oświetlając grubo ciosane postacie krążących strażników. Ale jeszcze jedna smuga światła na deku zwróciła uwagę komendanta. To pewno z admiralskiej izby, — pomyślał — on też spać nie może. Wielka czułość zalała mu serce dla tego starego żołnierza, co jeno najemnym cudzoziemcem będąc, całą duszą służył Polsce. Ze smutkiem pomyślał o tem, że nie tylko admirał, ale i znaczna część komendantów i oficerów to cudzoziemcy. Załogi tylko całe a i szarży trochę, że rdzenni Pomorzanie i Kaszuby. Bo i jakże ma być inaczej, gdy szlachta od morza stroni? Ale z Bożą pomocą wszystko się zmieni! — Uczul jednak, że wreszcie senność go ogarnia, wstał więc i sprawdziwszy raz jeszcze straże, udał się spać. Gdy przebudził się, świt już był i dzwon wzywał załogę na dek. Wyszedłszy, ujrzał stojącego pod for-masztem admirała, spytał go więc o rozkazy. Dickmann spojrzał na morze i rzekł:

— Niech jeno mgła trochę zrzednie, to wyruszymy. Trzeba wroga atakować, nie czekając aż on to uczyni.

Długo jednak jeszcze mgła spowijała horyzont, wreszcie zaczęła unosić się wgórę, a żywszy podmuch wiatru potargawszy ją w kawały, jął rozpraszać. Promienie rannego słońca otuliły ciepłem nawy, radością i wiarą w dobrą przyszłość napełniając królewskich żeglarzy.

— Niema i co dłużej zwlekać. Każ waszmość, by „Król Dawid" na czoło wyszedł.

Skoczył pan Fabjan na rufę i złożywszy dłonie koło ust, zakrzyknął do stojącej blisko orlogi:

— Hej tam! Ruszajcie w Imię Boże! A podajcie rozkaz dalej!

Widząc, że usłyszano go, zawrócił i jął wydawać komendy:

— Wszyscy na miejsca! Rozwinąć żagle! Puszkarze do dział!

W mgnieniu oka zaroiło się na masztach od zda się ociężałych a jednak na podziw sprawnych Kaszubów. Żagle bezszelestnie opadały i umiejętnie a szybko umocowane, jęły się watrem wypełnione wydymać.

— Ciągnąć kotew!

Galeona drgnęła jak rumak spięty ostrogą jeźdźca. W tej chwili po prawej burcie przemknął w pełnym biegu „Król Dawid". Admiralski statek ruszył w ślad znaczony jego rufą. Puszkarze opatrywali działa, majtkowie dzierżąc muszkiety, osęki, siekiery i wszelkiego rodzaju broń sieczną ustawili się wzdłuż burt. Zacięty wyraz twarzy, krzepkość postaci i mocarne dłonie Kaszubów pozwoliły panu Sychowskiemu wierzyć w pomyślny wynik excursionis. Biegał wszędzie, oglądał wszystko, wydawał rozkazy i sam pomagał w ich wykonaniu. Ujrzawszy, że Arendt Dickmann, stojący na rufie przyzywa go, podszedł doń.

— Spójrz waszmość. Nie radującyż to serca żeglarzy widok?

Pobiegł wzrokiem za wyciągniętą ręką admirała. Za rufą, w świetle rannego słońca, pod pełnemi żaglami, z łopocącą na maszcie banderą dumnie orał dziobem fale Bałtyku „Biegnący Jeleń". Za nim długim szeregiem kolejno płynęły: „Panna Wodna", „Arka Noego", „Syrena", „Tygrys", „Biały Pies", i „Delfin". Wyszczerzonemi wylotami dział zdały się mówić groźnie:

— Wara od Gdańska, wara od wybrzeży Polski!

Dickmann patrzył w zamyśleniu i, jakby do siebie, jął mówić:

— Nadejdzie, musi nadejść czas, gdy dostępu do Polski bronić będzie nie tych kilka galeon i brygów, lecz potężna armada z którą każdy liczyć będzie się musiał! Polska stanie się na morzu tak silna jak jest obecnie na lądzie! Póki to nie nastąpi będzie jak on Achilles, co jeno przez niezabezpieczoną piętę stał się wrogim pociskom dosiężny.

— Oby słowa Waszej Miłości ziściły się co najrychlej!

— Może nam będzie danem spowodować tę zmianę, a może jeszcze dużo czasu upłynie, ale wierzę, że stanie się jakom rzekł.

Pan Sychowski wielce pokrzepiony na duchu powrócił na przód okrętu. Szukał oczyma znaku jakowegoś na pokładzie „Króla Dawida", że wroga ujrzano, lecz daremnie.

— No, Szymonie — zwrócił się do młodego, dębczakowi podobnego Kaszuba. — Cóżeś taki zafrasowany?

— Bo psiajucha Szwedów ni znaku. Może uszli?

— Nie bój się! Leżą oni przy Helu, by z portu nas nie puścić i pewno wnet ich zoczymy.

W oddali, po lewej burcie widać już było oślepiający blask odbicia słońca w blaszanym dachu kościoła oliwskiego, gdy doszedł ich zgłuszony odgłosią głos z masztu „Króla Dawida".

— Szwedy! Szwedy przed nami!
Pan Sychowski jak burza wpadł na rufę.
— Wasza Miłość! Inimicus przed nami!
— Sygnalizować tamtym, by szyk sprawili!

Wnet dziewięć statków w składny szereg się wyciągnęło i ławą parło przed siebie. Żagle szwedzkie już z deku były widne, rosły w oczach, a wreszcie i kadłuby się ukazały. Odległość między przeciwnikami zmniejszała się widocznie. Można już było przez lunety zoczyć gorączkowy ruch na statkach, sposobienie się do walki, więc majtkowie silniej ujęli w ręce muszkiety, krzepciej wparli się nogami w dek, puszkarze dzierżąc płonące lonty, pochylili się nad swemi działami. Pan Sychowski wpijał się oczyma w najbliższą fregatę, by uchwycić odpowiedni moment do salwy.

— Na prawą burtę zwrot! — huknął. — Ognia!

Puszkarze lewej baterji przytknęli lonty do zapłonów i „Święty Jerzy" zadrżał, jakby na skałę podmorską najechawszy. Łoskot, wzmożony jeszcze równoczesnym ogniem innych okrętów, ogłuszył wszystkich. Pan Sychowski skoczył na burtę między wanty, by lepiej dojrzeć skutek salwy, lecz kłęby dymu zasłoniły mu widok. Nim opadły, na galeonę runął grad żelaza, szarpiąc żagle, rwąc liny, druzgocąc burty i miażdżąc ludzi.

— For maszt obalony! Srogie cavernae w boku! — zakrzyknął pan Fabjan, który nie bacząc, iż się eksponuje, trwał ciągle w linach. — Na lewą burtę! Poprawić z drugiej baterji!

— Mości Sychowski! — Dickmann dopadł go i z ogniem w oczach wołał: — Nie strzelać! Do burty dobić! Do burty! Toż to admiralski okręt! Jeśli go weźmiemy, duch w całej armadzie szwedzkiej upadnie. Naprzód!

„Święty Jerzy" ruszył pełnym galopem na Szweda. Ten powitał go jeszcze jedną salwą, lecz źle wymierzone w pośpiechu działa, przeniosły, małą tylko szkodę czyniąc. Nim nabito powtórnie, okręty starły się z suchym trzaskiem kruszonych belek i las osęk i haków wpił się w Szweda, unieruchamiając go. Wstrząs powalił jednych i drugich na deki, lecz wraz porwali się na nogi i runęli do burt. Dwie fale zbrojnych mężów zderzyły się i zamarły jakby w bezruchu. Pozorny to był bezruch, bo jedni drugich starali się przepchnąć, przełamać. Mur ludzki jął się przeginać, chybotać to w jedną, to w drugą stronę, lecz nikt i piędzi nie pozwolił przeciwnikowi. Szwedzi przykładając bandolety do zaciekłych twarzy Kaszubów, pociągali cyngle, kłuli długiemi rapierami w ciżbę, lecz sami ginęli pod straszliwemi ciosami siekier i szabel, dzierżonych mocarnie rękoma. — Oczy błyskały złowrogo, uniesione wściekłością wargi odsłaniały zęby, piersi z trudem czerpały powietrze.

W pierwszym szeregu walczył Arendt Dickmann, chcąc swym przykładem porwać majtków i do najwyższego zagrzać wysiłku. Pan Sychowski trwał pobok, by tak cennego dla sprawy życia admiralskiego strzec. Nie baczył na nacierających nań przeciwników i jakby odruchowo im się odcinał, tylko raz po raz to krótkim sztychem, to cięciem z szerokiego zamachu, to zawrotnym młyńcem walił na deski Szweda, godzącego w admirała. Sam dostał cios w głowę, lecz bobrowy kołpak osłabił jego siłę. Krew zalała mu oczy, otarł ją lewą ręką i walczył dalej. Daremne jednak były wysiłki Polaków. Szwedów było więcej i co który padł, nowy z świeżemi siłami wchodził na jego miejsce. Rozpacz jęła ogarniać pana Sychowskiego, dodając mocy jego ramieniu. Naraz, gdzieś z nad jego głowy, z wantów buchnął strzał muszkietowy i wraz rozległ się radosny okrzyk:

— Stiernskjöld ubity!

Jakoż wśród Szwedów powstał tumult, co widząc pan Sychowski, huknął z całej piersi:

— Naprzód! Admirał szwedzki zabit! Naprzód!

W straszliwym zamachu ciął najbliższego Szweda, odrąbując mu prawie głowę i przesadziwszy burty, wpadł jak burza między wrogów. Majtkowie za jego przykładem natarli ze zdwojoną wściekłością i mieszając upadłych na duchu wskutek śmierci wodza Szwedów, przepierali ich piędź za piędzią, krok za krokiem ku środkowi fregaty. Wreszcie pękły szeregi i choć bronili się nadal zaciekle, widocznem było, że nic ich już od zguby uchronić nie zdoła. Wtem ujrzał pan Sychowski, iż jakowyś oficer szwedzki z rapierem w jednej a bandoletem w drugiej ręce, znikł w zejściu z deku w głąb okrętu. Zrozumiał, że chce on wysadzić w powietrze fregatę, a wtedy zginie Dickmann, braknie wodza, bitwa może być przegrana!

— Bosman! Pilnuj zdrowia admiralskiego.

Jednym susem dopadł schodni i stoczył się raczej, jak zbiegł w dół. W szaleńczym biegu, nie zważając na żadne przeszkody, obijając się o belki, ruszył ku prochowni. Wnet ujrzał Szweda, który widząc, że go ścigają, zawahał się na moment, czy biec dalej, czy przyjąć walkę. To pozwoliło panu Fabjanowi dopaść go. Jednem uderzeniem wytrącił mu bandolet z garści. Szwed z wykrzywioną wściekłością twarzą, natarł nań rapierem i rozpoczęła się w ciasnym kurytarzu straszliwa walka o śmierć lub życie wszystkich będących na statku. Rapier raz po raz wysuwał się, jak żądło i zostawał odbity. Raz wraz szabla ze zgrzytem uderzała o rapier lub pancerz. Pan Fabjan, acz wprawny w walce na szable, oślepiony krwią, zalewającą mu oczy, coraz trudniej chwytał na ostrze gwałtowne sztychy rapieru. Widząc to Szwed, zebrał się w sobie i wyczekawszy na sposobność, pchnął straszliwie. Pan Sychowski uczuł ostry ból w boku, lecz wiedząc, że jego śmierć zgubi admirała i wszystkich, co przesądzić może losy bitwy a wraz Gdańska i wybrzeży polskich, nim Szwed się wyprostował, ciął go z całej siły w nieokrytą pancerzem szyję. Krew trysnęła silnym strumieniem i oficer, rozkrzyżowawszy ręce, runął na ziemię. Pan Sychowski oparł się o ścianę i otarł czoło, zroszone krwią i potem. Nie czas był jednak na odpoczynek, skupił więc siły i ruszył na dek.

— Ruszajcie do prochowni — rozkazał dwom majtkom — i nie zwólcie nikomu się zbliżać!

Zażarta walka trwała nadal, głównie na rufie i pod grotmasztem, gdyż Szwedzi nie chcieli dopuścić Polaków do zatkniętych tam bander. Wreszcie Szymon, ów młody majtek, przebił się do lin i jął się po nich wspinać mimo zadawanych mu ciosów. Dotarłszy do bandery silnem szarpnięciem zdarł ją uniósłszy z okrzykiem triumfu nad głową, skoczył wdół na Szwedów. Bandera barwną płachtą okryła jego zmiażdżone ciało. Wnet i druga wpadła w ręce Polaków. Teraz już Szwedzi poniechali oporu i chwytając rapiery za ostrza, jęli prosić o pardon. Pan Fabjan rozkazał przywrzeć ich pod dekiem i pośpieszył do Dickmanna, stojącego przy burcie.

Bitwa wrzała w całej pełni. Z pola uchodziła szwedzka fregata, znać dobrze uszkodzona, dwie inne tonęły. „Biegnący Jeleń", okryty kłębami dymu, walczył z dwoma przeciwnikami, „Król Dawid" sczepił się z trzecim. Pozostałe polskie statki, choć same wielce poszczerbione, zasypywały swoich adwersarzy deszczem żelaza. „Delfin", któremu szwedzkie pociski strzaskały ster i maszty powaliły, srodze przechylony, bronił się ostatkiem sił. Lecz „Biały Pies", który był właśnie zatopił Szweda, spieszył mu na pomoc całą siłą nośną swych płacht.

— Zdobywając admiralską fregatę, osłabiliśmy w nich ducha i z Bożą pomocą pognębimy całkiem — ozwał się Dickmann. — Patrz waszmość! Już postrzegli, że bandera admiralska w naszem jest ręku i spieszą ją odbić. Weź waszmość połowę ludzi i wracaj na „Świętego Jerzego"! Dostaną się we dwa ognie!

Jakoż „Pelikan" poniechał walki z „Panną Wodną" i choć ta mu po piętach deptała, spieszył admiralskiej fregacie w sukurs. A i największy ze Szwedów, „Słońce", zostawiwszy drugiego na łup „Biegnącego Jelenia", z oddali podążał, przeto pan Sychowski nie mieszkając, część ludzi porwał ze sobą na „Świętego Jerzego" i ruszył na „Pelikana". Ten z trzech stron rażony ogniem działowym, darmo starał się ujść ze śmiercionośnego kręgu, wywiesił więc białą chorągiew, zdając się na łaskę. Palba umilkła, lecz wówczas zdradziecki Szwed plunął z całej baterji na swój admiralski okręt, znać woląc go zatopić, jak zostawić w rękach Polaków. Na srodze poszczerbionej fregacie powstał tumult. Pan Fabjan, tknięty złem przeczuciem, skoczył do burty, z przerażeniem pytając, co się stało.

— Admirał! Admirał zabit!

Tak też i było. Jedna z kul padła u nóg admiralskich i Arendt Dickmann, okrutnie raniony, runął na dek, by w chwilę później skonać za chwałę, za szczęście tego kraju, któremu jak najlepszy syn służył. Żałość sroga zalała twarde serce żeglarskie, lecz wnet ustąpiła wściekłości i chęci zemsty. Tymczasem „Pelikan" z zamętu korzystając, uszedł.

— Admirał nie żyje! — wołał, uniósłszy ręce do góry pan Sychowski. — Zdrada! Niecna zdrada! Nie spoczniemy, póki pomsty należnej nie weźmiemy!

Ludzie odpowiedzieli wielkim krzykiem i „Święty Jerzy" pomknął ku zbliżającemu się „Słońcu". Nie bacząc na ogień działowy, dobili do burty olbrzyma i obojętni na palbę muszkietową w piersi ich skierowaną, ścigając się i przepychając, wdarli się na dek. Toż u drugiej burty uczyniła „Panna Wodna"... Rozpoczęła się walka bez pardonu, potworna w swej zaciekłości i okrucieństwie. Pod straszliwemi ciosami pryskały rapiery, gięły się pancerze. Kto broń postradał, walczył gołemi rękoma, wbijał się zębami w ciało, lub ująwszy wroga wpół, rzucał się społem z nim w morze. Szwedzi z przerażeniem w oku, słabnącemi ramionami odpierali szaleńczy napór Polaków. Nie mogąc dotrzymać placu, rzucili się do schodni, szukając schronienia pod dekiem. Zamieszanie i ścisk wydały ich na łup żądzą pomsty ogarniętych zwycięzców. Nie żywiono nikogo, trup gęsto zaścielił dek. Lecz i ci, którzy do wnętrza się dostali, nie uszli swego przeznaczenia. Wdarto się za nimi i rzeź dalej trwała.

Nagle okręt zadrżał cały, maszty się zachwiały i runęły, dek uniósł się do góry, jakby wyparty ręką jakowegoś mocarza i rozpadł na cząstki. Straszliwy huk wstrząsnął powietrzem, poczem na moment nastała zupełna cisza. Wnet jednak rozległy się jęki rannych, wołania o pomoc, a na „Świętego Jerzego" i „Pannę Wodną" jęli spiesznie uchodzić niedobitkowie. To Szwedzi, nie widząc znikąd ratunku, podpalili prochy, grzebiąc w szczątkach „Słońca" siebie i Polaków.

* * *

Południe już było dnia 27 listopada roku Pańskiego 1627, gdy polska armada wodna wracała do Gdańska. Na rufie „Świętego Jerzego" spoczywał na stosie płótna żaglowego pan Sychowski. Srodze poraniony podczas owego wybuchu prochów, konał powoli. Acz zdawał sobie z tego sprawę, radość przepełniała mu serce. Mgłą zachodzącemi oczyma spoglądał na płynące za „Świętym Jerzym" okręty. Jakże różny przedstawiały widok niż rankiem! Zdruzgotane maszty, po-

Dokończenie na str. 31-ej

ŁAMIGŁÓWKI ★ MODY ★ MĘSKIEJ

Na polowaniu

Sezon jesienny — to prawdziwy raj dla myśliwych. Zapoczątkowuje go polowanie na kuropatwy i ptactwo błotne, z których pierwsze wymaga stroju lżejszego, dostosowanego do dni pogodnych i co najważniejsze do ciągłego ruchu — drugie zaś, ograniczające swobodę poruszania się myśliwego często tylko do płaszczyzny dna łodzi, a więc wymagające raczej siedzenia i to nad wodą zmusza nas do stosowania cieplejszych strojów i do specjalnego zabezpieczenia się przed wilgocią.

Następny etap sezonu — to rykowiska jelenie i polowania w kniei, gdzie znowu teren stwarza specyficzne warunki. Tu doniosłą rolę odegra umiejętny wybór materjału i jego kolor, raczej jednostajny, niż ożywiony jaskrawym deseniem, i co ważne nie odbiegający od kolorytu jesiennego krajobrazu.

Z kniei wyjdziemy znowu na pola, na spotkanie z szarakami, a stanie się to wówczas, gdy słońce skryje się za gęsty woal mgły i jego promienie przestaną nas ogrzewać. Wówczas pomyślimy już *o* stroju zimowym, uszytym z grubej wełny i zabezpieczonym przed mroźnym wiatrem specjalną podszewką.

Jakie wybrać materjały na stroje myśliwskie? Przedewszystkiem krajowe, które dziś nie tylko dorównują angielskim, ale je nawet przewyższają. Leszczków — dokładnie: „Zakłady Przemysłowe Romana Żurowskiego w Leszczkowie" — produkują na ten cel home-spuny, szewioty, tweedy i lodeny, na które zwrócił uwagę ks. Kentu podczas swego pobytu w Polsce, uznając je za fabrykaty wysokiej klasy, mogące zadowolić najbardziej wybrednego sportsmena. Skończmy więc raz na zawsze ze szkodliwym snobizmem, mając do dyspozycji własne, doskonałe wyroby.

BRUMMEL.



PORANNA GIMNASTYKA

Z POMOCĄ KTÓREJ MOŻEMY USUNĄĆ BŁĘDY BUDOWY NASZEGO CIAŁA.

Ćwiczenie XIX.



Kolano musi pozostać przy tem ćwiczeniu zupełnie wyprostowane...

Jak wzmacniać muskulaturę nóg? Otóż do tego celu służą następujące ćwiczenia:

Kładziemy się na lewym boku i opieramy się na lewem przedramieniu. Prawą ręką ujmujemy prawą nogę i wciągamy ją w górę, jak to widzimy na rycinie. Naciągamy nogę tak silnie, aby jak najbardziej zbliżyć nogę do ramienia, kolano zaś staramy się jak najsilniej wyprężyć. Następnie obejmujemy dłonią koniec stopy i wykonujemy ćwiczenie jak na drugiej rycinie, wyprężając nogę przed siebie. Przez cały czas nie wypuszczamy z dłoni nogi i staramy się o jak najsilniejsze wyprężenie kolana.

Wyginanie kolana nazewnątrz jest doskonałem ćwiczeniem przeciw nogom iksowatym, podczas gdy silne sprężenie muskulatury przy drugiem ćwiczeniu usuwa błąd nóg kabłąkowanych. Do tego celu służą zresztą i inne ćwiczenia nóg, jak np. najsilniejsze przysiady, wyrzucanie korpusu w górę na nogach naprężonych aż do czubków palców itp. Chodzi mianowicie o to, aby wzmocnić słabe muskuły.

Znacznie trudniej jest wyprostować nogi kabłąkowate, aniżeli nogi iksowate. Nogi kabłąkowate pochodzą mianowicie przeważnie ze skrzywienia kości, co leczy się długotrwałą metodą ortopedyczną.



Tak ćwicząc, wzmacniamy muskulaturę nóg...



All'italiana

Kuchnia włoska odznacza się swego rodzaju bogatem urozmaiceniem, podobnie jak i francuska. W dobrej restauracji włoskiej można otrzymać potrawy z makaronu w 12-tu odmianach, różniących się przyprawieniem. Kuchnia tego kraju ma swój własny, odrębny styl, dostosowany do klimatu i do krajowych produktów. Włoch nie lubi sosów na zasmażkach, ani wielkich porcyj mięsa. Woli drób, steki, małe porcje pieczeni na rożnie. Smakują mu potrawy z makaronu i z ryżu. Ze wszystkich krajów europejskich tylko Włochy uprawiają ryż, zwłaszcza w Lombardji i w Piemoncie. Jakże smakowicie przyprawiane są włoskie „rizotto" i „spaghetti"!

Rozmaite rodzaje makaronu gotuje się, mieszając go ciągle w dużych ilościach wody, nie wolno jednak makaronu ani ugotować zbyt miękko, a już stanowczo nie przegotować. Nigdy nie łamie się na kawałki makaronu włoskiego jak w północnej Europie, przyczem we Włoszech zwracają na to uwagę, aby rurkowaty makaron włoski po odcedzeniu oblać zimną wodą; dopiero później, rozdzielając poszczególne włókna, układa się go na gorącym półmisku.

Wszystkie rodzaje krajowych jarzyn podaje się bez sosów na zasmażkach, w formie naturalnej, z domieszką masła lub oliwy, względnie z domieszką parmezańskiego sera. Główna przystawka włoska „antipasto" składa się z rozmaitych marynat rybnych, z pikantnych oliwek i przeróżnych rodzajów narodowych



kiełbas włoskich, jak salami, mortadella — której nazwa pochodzi od ziarn mirtu, dodawanego dawniej jako zaprawa — cervellata, napełniana wieprzowym mózgiem itd. Podczas upałów podaje się jako przystawkę melony mrożone, lub świeże figi wraz ze surową szynką.

Zasadniczym warunkiem udania się włoskich potraw jest użycie czystej oliwy. Podajemy kilka przepisów potraw, charakteryzujących kuchnię włoską:



Zuppa Romana: 50 gramów gotowanej szynki kraje się w drobną kostkę i miesza z drobno krajaną cebulą i burakami. Dodaje się trochę czosnku i siekanej pietruszki. Tę mieszaninę rumieni się w oliwie. 25 dkg obranych i drobno pokrajanych pomidorów oraz półtora litra mocnego rosołu na kościach dodaje się do poprzednio przyrumienionej szynki z jarzynami i gotuje razem. Następnie odcedza się zupę i zbiera z wierzchu tłuszcz, zagotowuje raz jeszcze z małym, zielonym groszkiem i 10 dkg makaronu „vermicelli", t. j. krajanego cieniutko jak nitka. Osobno podaje się ser parmezański.

Ravioli: 1/4 l. mleka ubija się z 1—2 żółtkami, dodaje 30—35 gramów rozpuszczonego masła i zwolna po troszce 1/2 kg mąki, aż ciasto zgęstnieje. Kładzie się je na podsypanej mąką stolnicy i wyrabia szybko. Następnie wałkuje się ciasto cieniutko, wykrawa szklanką lub okrągłą formą placuszki,



na których kładzie się pikantnie przyprawione siekane mięso, szpinak albo grzybki w ilości, nie przekraczającej wielkością orzecha laskowego. Ciasto zasklepia się w formie półksiężyców — podobnie jak nasze pierożki — i gotuje w kipiącej wodzie, osolonej 7—10 minut aż nie wypłyną. Podaje się do tego rumiane masło i ser parmezański. Nadziewkę z mięsa przyrządza się następująco: przez maszynkę przepuszcza się gotowaną lub pieczoną na oliwie cielęcinę, dodaje pieprzu i soli, dwa przetarte pomidory, siekaną pietruszkę, bazylję i szałwię, a jeżeli masa jest za gęsta, rozcieńcza się ją odrobinką kwaśnej śmietany.

(Dokończenie na str. 31-ej)

ŻYCIE artystyczne

NA SCENIE TEATRU SŁOWACKIEGO W KRAKOWIE





Fot. „As".

Fot. Dr. Azet, Kraków.

Po urlopach letnich rozpoczął teatr krakowski im. J. Słowackiego trzeci sezon pod dyrekcją Karola Frycza wznowieniem przygotowanej przed wakacjami świetnej komedji B. Shawa „Profesja pani Warren". Przedstawienie to, przygotowane reżysersko przez Karola Frycza, zaliczyła krytyka do jednego z najlepszych widowisk shawowskich w Polsce, podkreślając, że wszyscy artyści: J. Wernicz, T. Suchecka, K. Fabisiak, R. Wroński, W. Macherski, J. Kaliszewski, dali doskonałe kreacje. Po operetce „Koletta" z gościnnemi występami L. Szczepańskiej i Z. Rakowieckiego, wystawił teatr krakowski bardzo starannie arcydzieło komedji mieszczańskiej „Grube ryby" Michała Bałuckiego, składając w ten sposób hołd pamięci zasłużonego pisarza, którego setną rocznicę urodzin właśnie święcimy. „Grube ryby" unieśmiertelniły wspaniałe kreacje M. Frenkla i K. Kamińskiego w rolach Wistowskiego i Pagatowicza. Spadkobiercami tych ról są obecnie na krakowskiej scenie L. Ruszkowski i W. Biegański. Ciaputkiewiczów grają J. Korecka i K. Fabisiak, parę podlotków A. Matusiakówna i I. Starkówna, amantem jest J. Kaliszewski, Burczyńskiego gra Woźnik a Filika Turski. Uroczyste przedstawienie poprzedził przemówieniem prof. J. Wiśniowski. Na zdjęciach powyżej od lewej: Scena zbiorowa z „Grubych ryb". Pp. Teresa Suchecka i Janina Wernicz w „Profesji pani Warren".

MARLENA DIETRICH NA LIDO



Słynna gwiazda filmowa Marlena Dietrich bawiła w towarzystwie reżysera Józefa Sternberga na Lido. Para znakomitych artystów uczestniczyła w otwarciu międzynarodowej wystawy filmowej w Wenecji. Na zdjęciu: Sternberg i Marlena Dietrich w jednej z kawiarń na Placu św. Marka w Wenecji.

KONCERTY PROKOPIENIEGO



Fot. St. Urban, Gdynia.

Paweł Prokopieni, słusznie zaliczany do najlepszych naszych śpiewaków, koncertował z wielkiem powodzeniem na polskiem wybrzeżu i w Sopotach, wszędzie przyjmowany niezwykle owacyjnie. Obecnie przebywa Prokopieni na kuracji w Ciechocinku, gdzie dał się słyszeć na dwóch uwieńczonych pełnym sukcesem koncertach. Powyżej reprodukujemy jedno z ostatnich zdjęć artysty.

TERPSYCHORA NA WYWCZASACH

Wybitnie utalentowana tancerka p. Hanna Schwarzówna, która ostatnio została zaangażowana do szkoły J. Mieczyńskiej w Warszawie w charakterze asystentki, weźmie udział w festiwalu tanecznym w czasie powszechnego Festivalu Sztuki w Warszawie. Na zdjęciu, które poniżej reprodukujemy, widzimy artystkę na wybrzeżu wyspy Hvar w Jugosławji podczas jej ostatnich wywczasów letnich.



TEATR KATOWICKI



Fot. Cz. Datka, Katowice

Teatr im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach wystawił ku czci Michała Bałuckiego „Grube ryby" w znakomitej reżyserji Konstantego Tatarkiewicza. Komedja ta wystawiona niezwykle starannie odniosła zasłużony sukces również dzięki doskonałej grze całego zespołu aktorskiego. Na zdjęciu, które powyżej reprodukujemy: P. Wanda Siemaszkowa i p. Józef Winaszkiewicz, jako Ciaputkiewiczowie.

Hunds show

Pies, piękny i rasowy, zdobył sobie już oddawna w świecie mody poważne stanowisko. Na równi z kapeluszem, kostjumem, czy też etolą z drogocennego futra, stroi się pani w pieska, dobierając do swego typu i urody odpowiednią rasę. Następnie, jak nakazują kanony mody, dostosowuje swą tualetę do barwy sierści swego ulubieńca, by tworzyły razem wytworną i elegancką całość.

Konkursy, pod hasłem „Pani i jej pies", urządzane corocznie przez popularną kawiarnię „Sim" w Warszawie, mają właśnie na celu ukazanie w całej pełni piękna sylwetki eleganckiej pani, której czworonożny, rasowy towarzysz, w kolorze kapelusza, torebki, czy też pantofelków swej właścicielki, stanowi pełne wdzięku i szyku uzupełnienie jej tualety.

Ubiegłej niedzieli odbył się trzeci z kolei konkurs „Pani i jej pies" przy nader licznym udziale pięknych pań i ich ulubieńców, jak niemniej wielu amatorów i przyjaciół psiego rodu, których zaledwie zdołał pomieścić ogródek „Sima". Panie zjawiły się w nowych kreacjach jesiennych, ku czemu sprzyjała wymarzona słoneczna pogoda. Pieski wymyte, wyskubane, wyondulowane wystroiły się również w nowe obroże, smycze i kokardy. Są trochę zdenerwowane, chociaż w „Simie" powinny się czuć jak u siebie w domu. Jest to bowiem jedyna kawiarnia w Warszawie, do której pieskom wstęp jest dozwolony.

Olbrzymi stół założony nagrodami, przygotowanemi dla laureatek i laureatów konkursu czeka na orzeczenia jury. W doborze nagród, na które składają się piękne lampy, z laki z abażurami, „kosze flamandzkie", napełnione owocami, kuropawami i jarzynami, flaszki wina, obrazy, sztychy mnóstwo



Piękne panie i ich ulubieńcy w oczekiwaniu na decyzję jury.

Na prawo w kole: P. Irena Zyndram-Kościałkowska i jej sky-terriery „Dawid" i „Aga".



eleganckich drobiazgów i bibelotów, znać artystyczny smak właścicielki „Sima", p. Zofji Arciszewskiej, zarazem inicjatorki wszelkich imprez, urządzanych na terenie tej kawiarni.

Obok przy stole jury zasiedli przedstawiciele i przedstawicielki prasy oraz świata artystycznego z mistrzem ceremonji p. Stachiewiczem, sędzią Tow. Hodowli Psów Rasowych na czele. Przed okiem tego znawcy nie ukryje się najmniejsza niedokładność lub niedociągnięcie rasy. Tu ogonek za krótki, to za długi, nosek zamało zadarty albo nóżki za proste. Jury notuje skrzętnie plusy i minusy. Bo to przecież i pani musi być elegancka i piesek bez żadnej przygany, a przedewszystkiem w myśl hasła „pani i jej pies", całość sharmonizowana i dobrze dobrana.

Co raz to zjawia się, wywoływany numerkiem, jakiś przedstawiciel psiej arystokracji, możnych, starych psich rodów. Publiczność bije brawo i równocześnie na całym ogródku podnosi się niesłychany wrzask psich głosów, które w ten sposób manifestują swe protesty przeciwko pochwałom rywala. — Oklaski cichną, pieski również i grzecznie czekają swej kolei.

Pani Irena Zyndram-Kościałkowska w szarym kostjumie tworzy ze swą arystokratyczną rodzinką szarych sky-terrierów, papy Dawida i córeczki Agi nader wytworną całość. Na szarym kostjumie pani rysuje się delikatnym wzorem zielona krata, zielony kapelusz i rękawiczki. Pieski również postro-



Na lewo: P. Marja Dydyńska z dożycą „Bertą".



Na prawo: P. Nelly Kniaziołucka z dobermanką „Lady".

jone są w zielone obroże i smycze, otrzymuje też pierwszą nagrodę.

Oklaski zdobywa p. Anna Szmidt ze swym wspaniałym buldogiem, maści migdałowej w białe plamy. Kostjum pani przybrany niebieskim lisem i białą kamizelką harmonizuje barwą z maścią pieska.

P. Nelly Kniaziołucka prowadzi piękną dobermankę popielatą „Lady" i sama też jest w popielatej sukni. Czerwony pasek, i czerwona obroża psa tworzą barwne plamy, pięknie zharmonizowane.

P. Halina Jaroszewska w popielatej sukni, przybranej popielatemi breitszwancami prowadzi dwa piękne okazy airedale-terrierów, a panna Hanka Jaraczówna ubrała się dla swego czarnego gładkowłosego jamniczka na czarno. Pozatem panna Hanka zaprezentowała poza konkursem niezwykły okaz jamniczego rodu. Jest nim dwumiesięczna jamniczka „Kwiryna", nazwana tak na pamiątkę pierwszej roli w filmie swej pani. Kwirynka spadła z piątego piętra i nic sobie nie zrobiła, widać się widocznie w rodzinę Jaraczów. Mocni ludzie!

Sensację wzbudzał olbrzymi, czarny, podobny do niedźwiedzia wodołaz Prince, prowadzony przez małą dziewczynkę w białej sukni, własność p. Elżbiety Arseniew. Psy czarno-białe towarzyszyły paniom ubranym również w czarne suknie, rozjaśnione białymi żabotami lub też butonierkami. Całość przedstawiała się niezwykle estetycznie i elegancko. P. Zofja Kiedrzyńska natomiast do swego czarnego spaniela „Miki", ubranego w czerwoną obrożę, wpięła w butonierkę czerwony kwiat i miała czerwoną torebkę. Wdzięczną całość tworzył rasowy pekińczyk „Miki", ustrojony w niebieską kokardę ze swą panią Janiną Gondzikową w niebieskim wełnianym kostjumie. Prześlicznie się prezentował w obłoku białej pełi szpic „Lalek", wyczesany i wykąpany na tę uroczystość tak, że wyglądał jak śnieżny puszek. Jego pani w białym płaszczu i berecie dostrajała się tualetą do swego pieszczoszka.

Zabawne ostrowłose foxterriery, z nóżkami jak wystruganemi z drzewa i kwadratowemi mordkami, najlepiej odpowiadają typowi nowoczesnej młodej sportlady. Klasyczną pod tym względem całość tworzyła p. Krystyna Zembrzuska (jedna z pierwszych nagród) ze swym „Tomaszem", jak niemniej p. Marja Sulimierska z „Idą".

Charty, których kilka pięknych okazów mieliśmy sposobność oglądać w „Simie", jeszcze raz wykazały swe malarskie zalety. Ich właścicielki powinny były wystąpić w jakichś stylowych tualetach, w szerokich kapeluszach, a efekt byłby olśniewający. Zwłaszcza chart syberyjski „Czok", maści jasno migdałowej, własność p. Dagmary Korten, prezentował się prawdziwie portretowo. Może na następny konkurs przygotuje któraś z pań taką artystyczną atrakcję.

Przeszło pięćdziesiąt piesków najrozmaitszej rasy przedefilowało za swemi paniami przed forum publiczności. — Były oprócz wymienionych jeszcze i zabawne pekińczyki z zadartymi noskami i modne francuskie buldogi jedwabiste, setery i bardzo rzadki okaz długowłosego jamniczka. Jury znalazło się w prawdziwym kłopocie z przyznaniem nagród. Wkońcu rozdzieliło aż siedm pierwszych nagród, a drugich jedenaście. Prócz tego było kilka nagród „pocieszenia". Nagrodę plebiscytową otrzymała p. Kniaziołucka oraz panie Halina Jaroszewska, Alicja Czerwińska ze ślicznym szkockim czarno-białym owczarkiem „Zeusem" i Zofja Lorenc z „Pumą", seterem irlandzkim, którego do nagrody trudno było odszukać, bo ze zdenerwowania zjadł swój numerek. Z. O.





Powyżej od lewej: P. Dagmara Korten z chartem „Czokiem". — P. Irena Marcinkowska z chartem „Filonem". **Wszystkie zdjęcia fot. »As«.**



Na lewo: P. Krystyna Zembrzuska z ostrowłosym foxterrierem.



Odmiana niemieckich owczarków.

P R Z E P I S Y

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

ZUPA SELEROWA PUREE. Oczyszczoną główkę selera kraje się w płatki, następnie zalewa wrzącą wodą i odcedza. Dwa dkg cukru zrumienia się na łyżce masła, rozprowadza zimnym rosołem, poczem wkłada się osączony seler i dusi przy częstem dolewaniu troszkę rosołu. Wkońcu przeciera się seler przez drobny durszlak, zalewa osolonym rosołem w potrzebnej ilości, zagotowuje i podprawia dwowa żółtkami, roztrzepanemi z łyżką śmietanki. Jako dodatek daje się ryż i grzanki. W taki sam sposób sporządza się zupę z każdej jarzyny, jak: marchewki, porów, włoskiej kapusty i t. p.

TURECKIE KOTLETY. Ubija się małe kotleciki z mięsa baraniego lub cielęcego (oryginalny przepis mówi tylko o mięsie baranim, cielęce nadaje się również na tę potrawę, wymaga tylko więcej tłuszczu). Kotleciki osmaża się szybko z obu stron na rumiano i układa w kamiennej rynce, pokrywa ryżem, na sypko ugotowanym, zmieszanym z drobno posiekaną zieloną i różową papryką. Na 50 dkg mięsa wystarczy 15 dkg ryżu, 2—3 sztuk papryk. Wierzch potrawy kropi się suto masłem i zapieka przez pół godziny w piecyku. Wydaje się w tem samem naczyniu, otoczonem serwetą.

SZNYCELKI CIELĘCE A LA BOURGOISE. Z 50 dkg mięsa cielęcego od dyszka formuje się, po ubiciu, okrągłe sznycelki, smaży z obu stron na rozpalonym tłuszczu, układa w rondelku i trzyma w cieple. Do pozostałego po smażeniu sznycelków tłuszczu dodaje się jeszcze trochę masła, zasypuje łyżeczką mąki, dolewa kieliszek czerwonego wina i troszkę rosołu, dodaje musztardy na koniec noża, szczypkę cukru i soli oraz kilka osobno uduszonych pieczarek. Wszystko razem zagotowuje się, wkłada odstawione poprzednio sznycelki i podgrzewa silnie, nie gotując więcej. Sznycelki podaje się obłożone ryżem lub makaronem.

NALEŚNIKI Z KAPUSTĄ WŁOSKĄ. Twardą główkę włoskiej kapusty kraje się w ćwiartki, parzy naprzód wrzącą wodą, odcedza, następnie zalewa wodą gorącą, dodaje szczyptę soli i cukru i gotuje tak długo aż kapusta zmięknie. Odlaną i wyciśniętą z wody, sieka się ją i wkłada do rondelka, w którym rozpalono łyżkę masła; do kapusty dodaje się troszkę pieprzu i łyżkę kwaśnej śmietany, dla amatorów też troszkę smażonej cebulki. Podduszoną kapustę miesza się wkońcu z 10 dkg mielonej szynki lub pieczeni wieprzowej. Mieszaniną tą smaruje się naleśniki, zwija, panieruje w jajku i bułeczce, następnie osmaża na maśle i podaje obłożone puree ziemniaczanem.

KALAFJOR NA MUSZELKACH. Kalafjor ugotowany w słonej wodzie, ostudzony następnie, miesza się z gęstym majonezem, utartym z dwóch twardych i 1 surowego żółtka z łyżką oliwy lub kwaśnej śmietany, łyżeczką soku cytrynowego, szczyptą soli i cukru. Nałożony na muszelki, posypuje się szynką siekaną, ozdabia auszpikiem, zieloną sałatą i płatkami twardego jaja.

GRUSZKI Z KREMEM. Obrane gruszki przekrawa się na połówki, wydrąża i gotuje w ocukrzonej wodzie. Ugotowane układa się na szklanej miseczce i ostudza, poczem pokrywa się je gęstym kremem waniljowym i ubiera konfiturami z wiśni lub malin. Krem: ubija się na parze z 1/4 litra śmietanki, rozkłuconej z dwoma żółtkami i łyżeczką mączki do zagęszczania (ryżowej lub kukurydzianej). W śmietance wygotowuje się przedtem pół laseczki wanilji.

KRUCHE TORCIKI Z JABŁKAMI. 10 dkg masła, 5 dkg cukru, żółtko, 15 dkg mąki i łyżkę kwaśnej śmietany zagniata się szybko na tęgie ciasto, następnie wywałkowuje na grubość grzbietu noża. Duże, kruche jabłka obrane kraje się i kraje z nich okrągłe płatki. Z wywałkowanego ciasta wykrawa się okrągłe placuszki, wielkości dłoni, kładzie na każdy płatek jabłko, przykrywa drugim placuszkiem, zakarbowuje nożem brzegi, smaruje żółtkiem, posypuje grubym cukrem z migdałami i piecze w miernym piecu na złoty kolor. Po upieczeniu osypuje się torciki suto cukrem z wanilją. Można je podawać na ciepło lub na zimno.

SOK ŻURAWINOWY sporządza się z jagód przemarzniętych trochę, gdyż wtedy tracą dużo z swej cierpkości i nie wymagają tak wiele cukru. Przebrane dokładnie i kilkakrotnie wypłukane żurawiny wsypuje się do kamiennego garnka i wstawia do ciepłego piecyka po ugotowaniu obiadu, aby je łatwiej było wycisnąć. Gotować ich nie należy, bo tracą swój piękny kolor. Kiedy dostatecznie zmiękną i sok puszczą, wyciska się je w płóciennym woreczku i odmierza wyciśnięty sok. Na 1 litr soku bierze się około 1 kg cukru, który się miesza z sokiem, a gdy się cukier zupełnie rozpuści, gotuje się sok, licząc od chwili zagotowania przez 20 minut. W czasie gotowania należy pilnie zbierać piany i nieczystości z soku. Wystudzony zlewa się do czystych flaszek, korkuje i przechowuje w piwnicy stojąco.

Se. Ko.



Nowości gospodarstwa domowego

Ostatnim wyrazem ekonomji w gospodarstwie domowem jest kuchnia oszczędnościowa, polegająca na tem, że po uzyskaniu odpowiedniej temperatury ustawia się jedno naczynie na drugiem, a ciepłota wytworzona wystarczy na ugotowanie kilku potraw równocześnie, przy zaoszczędzeniu prądu.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 40 — **Wrzesień** — 30 dni

NIEDZIELA **26** Cyprjana	Zupa rumiana "Julienne". Ragoût z mięsa i grzybów. Gęś pieczona z duszoną kapustą. Kompot mieszany. Kruche torciki. Kolacja: Pasztet z wątróbki z sałatką jarzynową.
PONIEDZ. **27** Kosmy i Damj.	Zupa selerowa purée z grzankami. Sztuka mięsa z sosem chrzanowym. Tureckie kotlety z ryżem. Gruszki z kremem. Kolacja: Naleśniki z kapustą.
WTOREK **28** Wacława kr.	Zupa z bułek "panade". Rizotto z podróbkami z gęsi. Sznycelki cielęce à la bourgoise z makaronem. Kisiel żurawinowy z śmietanką. Kolacja: Parówki na szpinaku.
ŚRODA **29** Michała Arch.	Zupa kalafiorowa. Płucka cielęce po wiedeńsku. Kuropatwy pieczone z kompotem z brusznic. Strudel z jabłkami. Kolacja: Wątróbka z drobiu w ryżu.
CZWARTEK **30** Jana z Dukli	Zupa czernina z zająca. Kalafior na muszelkach. Pieczeń huzarska z sałatą z czerwonej kapusty i fasolki. Gruszki w kruchem cieście. Kolacja: Strudel z kaszą tatarczaną, t. zw. knysz /potrawa wsch. Małop.
Październik	
PIĄTEK **1** Remigjusza	Zupa śliwkowa z ziemniaczkami. Kotlety ziemniaczane lub ryżowe w pomidorowym sosie. Karp w galarecie z sałatą. Legomina z makaronu wypiekana. Kolacja: Pasta z piklingów na grzankach z chleba.
SOBOTA **2** Aniołów Str.	Pomidorówka na rosole. Omlety z farszem z mięsa z rosołu. Pieczeń sarnia z buraczkami. Suflet z jabłek. Kolacja: Gulasz z kiełbasy z kaszą.

HOCKI-KLOCKI

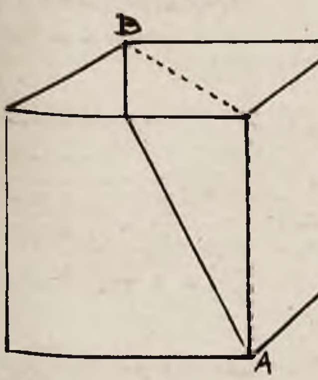
NOWOCZESNA LEDA.



— Kasiu, dlaczegóż nie zabierasz tego drobiu do kuchni?... *„Le Rire"*

Rozwiązania z Nru 38-go.

MUCHA I SZEŚCIAN.



Inteligentna mucha wybierze najkrótszą drogę, która na rysunku jest oznaczona linją ciągłą. Droga ta zajmie jej 2,236 minut. Nie wybierze drogi, oznaczonej linją przerywaną (która pozornie wydaje się najkrótsza), bo jest ona dłuższa, a więc wymaga też i więcej czasu.

NAD MORZEM.

Dom jest oddalony od morza o 3/4 km.

OSIEM CYFR.

86+2+4+5+7—1—3=100.

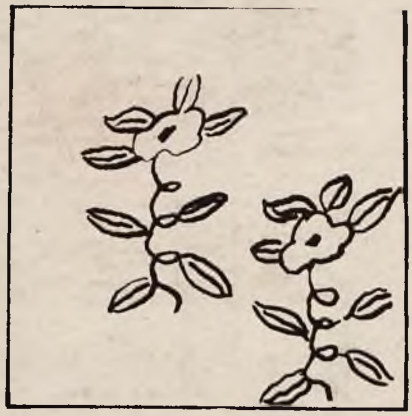
ROZRYWKI UMYSŁOWE

KTO BYŁ PIERWSZY?

Trzech młodych ludzi: Adam, Bolek i Janek, siedziało nad wodą, gdy nagle ktoś wystrzelił z rewolweru. Adam usłyszał strzał. Bolek zobaczył dymek, Janek kulę odbijającą się po wodzie.

Na podstawie tych danych należy określić, który z trzech młodych ludzi pierwszy dowiedział się, że padł strzał?

OBRUS PANI WRÓBELKOWEJ.



Pani Wróbelkowa ma kłopot. Oto obrus z dwoma wyhaftowanemi jednakowemi kwiatami, który pani Balbina chciałaby rozciąć na cztery części w ten sposób, żeby można z nich było zeszyć dwie kwadratowe serwetki (nierównej zresztą wielkości) z kwiatem na każdej. Hafty są cenne i przecięcie ich jest niedozwolone — jak również nie można materjału nicować na drugą stronę.

LICZMANY.

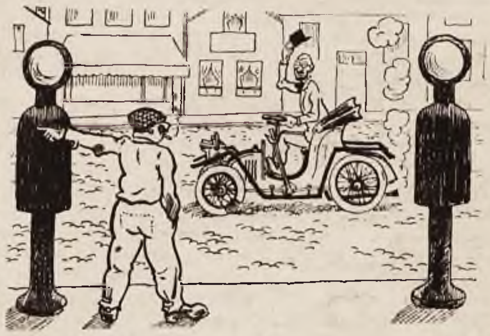
W pudełku było 10 liczmanów, oznaczonych cyframi od 1 do 10 włącznie. Henio, Ala, Gucio, Marysia i Lucynka wyciągali „na chybił trafił" po dwa liczmany. Sumy cyfr na wyciągniętych przez dzieci liczmanach były następujące: Henio — 16, Ala — 11, Gucio — 4, Marysia — 17, Lucynka — 7.

Jakie liczmany wyciągnęło każde z dzieci z osobna?

PROFESOR UŁAMEK.

Profesor Ułamek niewątpliwie zdziecinniał na starość. Wieczorem, gdy udawał się do swego sypialnego pokoju szedł cztery kroki naprzód, a trzy w tył. W ten niewygodny a conajmniej dziwny sposób robił ogółem 40 kroków od swego biurka do drzwi sypialni. Ile kroków w prostej linji było od biurka profesora Ułamka do drzwi jego sypialni?

DOBRA INFORMACJA.



— Chciałbym sprzedać moją maszynę — czy to pana interesuje?

— Nie, mnie nie — ja jestem właścicielem garażu. Ale antykwarjusz ma sklep tam na lewo... *„Ric et Rac"*

KONSPIRATORZY.



— Dlaczego nie włożyłeś dziś płaszcza koloru muru?

— Dlatego, że dzisiaj mam rendez-vous pod cegielnią.. *„Ric et Rac"*

Dokończenie ze str. 24-ej.

szarpane żagle, splątane liny, poszczerbione burty, potrzaskane deski i dziury w kadłubach przekształciły piękną armadę w ruinę. Dumny jej aspekt znikł zupełnie, lecz stokroć większy powstał powód do dumy: odniosła wspaniałe zwycięstwo nad panującą na mari Baltico armadą szwedzką, której równej w sile i wartości bojowej może i żadne państwo nie posiada.

Pan Sychowski raz jeszcze ujrzał oczyma wyobraźni, jak Szwedy sromotnie tył podali, co tchu ku ojczystym brzegom pomykając. Ujrzał pościg upojonych triumfem Polaków, powstrzymany ku ogromnej żałości załóg, jego szkodami jakie ponieśli. Pyrrusowa bo to była victoria, boć sam Dickmann ubit, kilku komendantów, sporo innej zacnej starszyzny i moc prostych majtków, a i jednego nawet statku nie było, któryby srodze nie był poszczerbion. Nagle od wspomnień tych oderwał go dźwięk jakby dzwonów. Zdziwiony, uniósł z wysiłkiem głowę.

— Czy jakoweś dzwony biją?

Strapione twarze majtków nachyliły się nad komendantem.

— Tak Wasza Miłość! Od Helu po Gdańsk! Znać doszła ich już wieść o naszem zwycięstwie i Bogu dank czynią.

Uśmiech radosny rozjaśnił oblicze pana Fabjana. Wspomniał jeszcze dickmannowe słowa: „Musi nadejść czas, gdy Polska będzie na morzu tak silna, jak jest obecnie na lądzie!", poczem myśli mu się zmąciły, tchu zabrakło i głowa ciężko opadła, Nie żył.

A dzwony niosły ciągle Polsce szczęsną wieść o oliwskiej potrzebie, o pierwszem zwycięstwie polskiej armady.

—o—

Dokończenie ze str. 26-ej.

Sos boloński: Pół cebuli i jedną marchewkę drobno pokrajane dusi się w maśle lub w stopionej słoninie, dodaje się 10 dkg chudego mięsa, 20 dkg wątróbki z drobiu, krajanej w drobną kostkę. Wszystko to smaży się na wolnym ogniu i dodaje się trzy łyżki stołowe wina. Następnie dusi się w parze obrane z łupki i pokrajane pomidory i dodaje je do poprzedniej mieszaniny z domieszką drobnego saga. Na pięć minut przed zdjęciem sosu z ognia zaprawia się go 5 dkg surowej szynki, drobno pokrajanej.

Baranina à la Verdi: Małe kotleciki baranie odkrawa się od kości, piecze się krótko na oliwie, okłada plastrami gęsiej duszonej wątroby — jeden plaster na jeden kotlet — i oblewa następującym sosem: ubija się trochę kwaśnej śmietany z mąką, pieprzem i solą i rozpuszcza w soku, który wypłynął z mięsa baraniego. Do sosu wbija się żółtka i taką mieszaniną oblewa się mięso, t. j. kotlety z wątrobą. Razem piecze się w gorącym piecu.

Zabaione: 1/2 litra Marsala ubija się trzepaczką w naczyniu, wstawionem do drugiego naczynia z gorącą wodą, z 12.5 dkg cukru, 6 żółtkami i jednem całem jajem, aż zgęstnieje. Zanim ta mieszanina się zagotuje, zdejmuje się z blachy i podaje na gorąco, wraz z waflami albo ciasteczkami z migdałów.

To warto poznać..

NA SCENIE.

WARSZAWA. — Teatr Narodowy rozpoczął sezon teatralny **„Wilkami w nocy“** Tadeusza Rittnera. Utwór wybitnego dramaturga wyreżyserowała znakomicie Stanisława Wysocka. — Miała ona o tyle wdzięczne zadanie, ż dysponowała niebylejaką obsadą z Węgrzynem i Eichlerówną na czele. Węgrzyn grał rolę prokuratora, żyjącego na zewnątrz wedle litery prawa, ale borykającego się z konfliktem sumienia. Jak wilki osaczają go „złe myśl “. Spokojny i uregulowany tryb życia codziennego zostaje zachwiany. Prokurator bedzie musiał zgodzić się na kompromis z sumieniem. Węgrzyn potraktował tę postać nieco groteskowo, zabarwił ją ironją. Wspaniała była Eichlerówna w roli Żanety, która wprowadza zamieszanie w życie prokuratora: miała akcenty drapieżne, to znów pełne uczucia. Jest to jedna z najlepszych ról tej artystki. Poza tym duetem trzeba wymienić i innych wybornych wykonawców sztuki: Daczewskiego, Stanisławskiego i Malanowicz-Niedzielską.

Błahą sztuczkę angielskiego autora H. H. Daviesa p. t. **„Mięczak“** wystawił Teatr Malickiej. Jeśli zdobędzie ona sukces na naszym gruncie, zawdzięczać to będzie Malickiej w roli głównej — owego „mięczaka“, który lubi wygodę, nadskakiwanie. Kłopoty bohaterów utworu Daviesa są „poczciwe“, formatu „buduarowego“, nie groźne ani nie wstrząsające. Prócz Malickiej dobrze spisują się pp. Gryf-Olszewska, Modrzewski, Sawan.

W Teatrze Letnim dyr. Trzciński sięgnął po komedję muzyczną R. Katschera p. t. **„Miłość przy świecach“**. Mimo wysiłków aktorów nie udało im się ożywić tej bladej historji. W rolach głównych wystąpili pp. Żabczyński, Wojciech Ruszkowski, Loda Niemirzanka, Irena Malkiewiczówna i Myszkiewicz. Nad wykonaniem muzycznem czuwał Feliks Rybicki.

W Wielkiej Rewji wystawiono komedję muzyczną K. Farkasa p. t. **„Król na jedną noc“** z muzyką H. Langa. Wersję polską opracował M. Hemar i J. Walden. Anegdota tej komedyjki jest zabawna i daje pole do wygrania się dwom wybornym komikom — Dymszy i Zniczowi. Dymsza odgrywa rolę królewskiego sobowtóra. Premjer (Znicz), chcąc uchronić swojego monarchę przed zamachem — poleca sobowtórowi zastępować przez jedną dobę prawdziwego króla. Inni wykonawcy: N. Grudzińska, J. Sokołowska, Nesterówna i Regro.

KRAKÓW. Setną rocznicę urodzin Mich. Bałuckiego uczcił Teatr im. Słowackiego, wystawiając **„Grube ryby“**. Najzabawniejszą figurą był Pagatowicz w wykonaniu Wiktora Biegańskiego (który poza tem reżyserował sztukę). Jako reżyser Biegański również starał się o wydobycie z sytuacyj maksimum wesołości. Szczególnie gorące brawa uzyskał np. w scenie tańca dwóch podstarzałych donżuanów. Wistowskiego zagrał w duchu tradycyj Frenkla L. Ruszkowski. Ale, rzecz prosta, niełatwo sprostać takiemu pierwowzorowi. Pozostałe role przypadły m. in. Fabisiakowi (Ciaputkiewicz), Turskiemu (Filip), Matusiakównie (Wanda), Kaliszewskiemu (Wacław).

KATOWICE. Teatr im. Wyspiańskiego dał już trzy premjery od początku nowego sezonu i to wyłącznie polskich autorów: najpierw Niewiarowskiego: „Gdzie djabeł nie może“, potem „Grube ryby“, ostatnio Zdzisława Marynowskiego „Rozwód“. Rzecz dzieje się na wielkim transatlantyku. Występują tu cztery osoby; na specjalne uznanie zasłużyła Barwińska w roli zblazowanej amerykańskiej miljonerki, oraz pp. Godlewski, Kostrzewski i Karowski.

J. J.

NOWE KSIĄŻKI.

PRZEWODNIK LITERACKI I NAUKOWY 1933—1935

Przewodnik ten obejmuje wydawnictwa książkowe, które ukazały się w latach 1933—1935. W sumie omówiono ponad 2 tysiące pozycyj. Nie jest to, rzecz prosta, całokształt produkcji. Wydawcy Przewodnika (Poradnia Bibljoteczna w Warszawie przy Kole Zw. Bibljotekarzy Polsk.) uwzględniali egzemplarze, nadsyłane im przez nakładców, przyczem nie wszystkie firmy wydawnicze nadsyłały je regularnie. Cały materjał podzielono na działy: literatura dla dzieci i młodzieży. powieść i nowela, książki treści ogólnej (encyklopedje, słowniki, atlasy itp.), filozofja, religja, nauki społeczne, językoznawstwo, nauki ścisłe. stosowane, sztuki piękne, literatura (krytyka), historja, pamiętniki, geografja, życiorysy.

Każdej książce. prócz notatki bibljograficznej, poświęcono krótką charakterystykę i ocenę. Wydawcy wprowadzili także rodzaj stopni, oznaczających większą lub mniejszą przystępność książki. — Dzieła bardziej wartościowe niejednokrotnie oznaczono ponadto jedną lub kilku gwiazdkami.

Jeśli idzie o ocenę tego lub innego utworu — nieraz możnaby zakwestjonować słuszność oceny. W tego rodzaju wydawnictwie należałoby położyć największy nacisk na jak najpełniejszy obraz ruchu wydawniczego, poprzestając na rzeczowej charakterystyce, bez wdawania się w ocenę.

Hierarchję ksiązek możnaby uwypuklić przez odpowiednie rozmiary recenzyj: krótsze przeznaczyć dla mniej ważnych publikacyj, dłuższe omówienia poświęcić cenniejszym pozycjom. Tymczasem w Przewodniku spotykamy nieraz dysproporcje: tyle samo miejsca przeznacza się na omówienie „sensacyjnej“ powieści jednego z krajowych dostawców tego rodzaju towaru, co Wołoszynowskiemu lub Stendhalowi. Zbiorowi wierszy J. Iwaszkiewicza poświęcono 2 wiersze druku. podczas gdy zbiorowi satyr Hemara 13 wierszy!

J. J.

NA NAJLEPSZEJ FALI

Niedziela, 26 września.

8.00 Audycja poranna.
9.00 „Dzień kolejarza polskiego“ — transm. z Torunia — nabożeństwo.
11.00 Marsze i walce (płyty).
12.03 Poranek z Wystawy Radjowej w Wilnie.
13.10 Koncert rozrywk. w wyk. ork. dętej Kol. Przysp. Wojsk. z Torunia.
14.40 „Wszystkiego po trochu“ — audycja dla dzieci.
16.00 Pieśni kurpiowskie.
15.00 Audycja dla wsi.
16.30 Współczesna muzyka francuska (płyty).
17.00 „Podróżnik i miłość“ — Teatr Wyobraźni.
18.00 Podwieczorek przy mikrofonie.
20.00 Kwartet Lenera i Oktet Squire'a.
21.00 „Djabeł w zalotach“ — wesoła audycja ze Lwowa.
22.02 Recital skrzypcowy Marji Marco.
22.30 Pieśni w wykonaniu Edwarda Bendera.

Poniedziałek, 27 września.

6.15 Audycja poranna.
11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Ludwik van Beethoven: Sonata F-Dur op. 10 Nr. 2.
12.15 Dochody i rozchody w gospodarstwie domowem — pogadanka.
12.25 Muzyka (płyty).
12.40 Od warsztatu do warsztatu: grawerzy.
16.00 „Dziwy techniki“ — pogadanka dla dzieci.
16.15 Koncert rozrywkowy.
16.45 Obyczaje sportowe — feljeton.
17.00 Koncert solistów.
17.50 „Puszcza w jesieni“ — pogadanka.
18.15 W takcie na trzy czwarte (płyty).
19.00 Audycja strzelecka.
20.00 Muzyka taneczna.
21.00 „Nimfy nad jeziorem Gopłem“ — Opera Kurpińskiego, ze Lwowa.

Wtorek, 28 września.

6.15 Audycja poranna.
11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Edward Grieg.
12.25 Lekki koncert.
16.00 „Zagadka geograficzna“ — aud. dla dzieci starszych.
16.20 Ludowe pieśni rumuńskie.
16.45 „W Maciejowicach“ — feljeton.
17.00 Koncert z Ciechocinka.
18.15 Popularni pieśniarze w produkcjach solowych i zespołowych.
19.00 „Będzie lepiej“ — skecz.
19.15 Recital wiolonczelowy Augusta Karjus'a.
20.00 Koncert rozrywkowy z udziałem chóru Dana.
21.45 „Doktor Piotr“ — opowiadanie Stefana Żeromskiego.
22.00 Koncert.

Środa, 29 września.

6.15 Audycja poranna.
11.15 Audycja dla szkół.
11.40 Ruggiero Leoncavallo: fragmenty z op. „Pajace“ (płyty).
12.15 Jak trzeba się ubierać na wsi? — pogadanka.
12.25 Koncert orkiestry rozrywkowej z Łodzi.
16.00 „Poetyckie echo Lalki“ — szkic literacki.
16.15 Chór im. Moniuszki pod dyr. St. Wiechowicza i ork. dęta.
16.45 Szpiegostwo sowieckie — odczyt.
17.00 Koncert solistów.
17.50 O samochodzie i jego kierowcy — pogadanka.
18.15 Muzyka lekka.
19.00 „Słynni dyrygenci“ — XXIV audycja (ostatnia).
20.00 Hurra! Uwertura! lekka audycja muzyczna.
21.00 Koncert chopinowski.
21.45 „Doktor Piotr“ — opowiadanie Stefana Żeromskiego.
22.00 Muzyka taneczna.
6.15 Audycja poranna.

Czwartek, 30 września.

11.15 Poranek muzyczny dla liceów — transm. z Poznania „Pieśni w historycznym rozwoju“.
12.15 Pogadanka rolnicza.
12.25 Muzyka salonowa.
16.00 „Na siodełku motocykla“ — pogadanka dla dzieci.
16.45 Ludwik Beethoven: Sonata na wiolonczelę i fortepian.
16.45 „Działkowcy zbierają plony“ — feljeton.
17.00 Koncert z Ciechocinka.
18.15 Małe zespoły jazzowe (płyty).
19.00 „Pułapka“ — premjera słuchowiska oryginalnego.
20.00 Koncert rozrywkowy — ze Lwowa.
21.45 „Doktor Piotr“ — opowiadanie St. Żeromskiego.
22.00 Recital śpiewaczy Rose Bampton.
22.30 Sonaty w wyk. Maryli Jonasówny.

Piątek, 1 października.

6.15 Audycja poranna.
11.15 Audycja z okazji Tygodnia Szkoły Powszechnej.
11.40 Antoni Dworzak: Tańce słowiańskie.
12.15 Skrzynka rolnicza.
12.25 Mała Ork. P. R.
16.15 Koncert rozrywkowy.
16.45 „W Rio i w Interjorze“ — reportaż.
17.00 Utwory skrzypcowe i pieśni.
18.15 Lekkie piosenki.
19.00 Recital fortepianowy.
19.30 Franciszek Schubert.
20.00 Ze starych i nowych operetek.
21.45 Kwadrans poezji Maurycego Maeterlinck'a.
22.00 Koncert wieczorny.

Sobota, 2 października.

6.15 Audycja poranna.
11.15 Audycja dla szkół: „Śpiewajmy piosenki“.
11.40 Jan Brahms: Rapsodja na alt.
12.25 Wileńska Orkiestra pod dyr. Wł. Szczepańskiego.
16.00 „W pustyni i w puszczy“ — słuchowisko dla dzieci.
16.30 Uwertury — koncert w wyk. ork. A. Hermana — z Krakowa.
17.00 Transmisja nabożeństwa z Ostrej Bramy.
17.50 „Latarnia morska na Helu“ — feljeton.
18.15 Tarantele (płyty).
19.00 Węgierskie melodje (ze Lwowa) — ork. mandolinistów.
20.00 Audycja dla Polaków zagranicą.
20.55 „Oszczędna gospodarka paszami“ — pogadanka.
21.05 Muzyka taneczna.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa“, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.